Nr 1 (25)
ROK II

TYDZIEŃ

5. I. 1947 r.
Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZIŚ 16 STRON

L. Zajączkowska

LISTY I POWROTY

)trzymałam list „z zachodu"—z obozu polskiego w amerykańskiej strefie kupacyjnej Niemiec. Zanim przytoczę lka niezmiernie charakterystycznych lań tego listu, chciałabym opowiedzieć ewną krótką historię młodego chłop-, historię — jakich wiele.

Po aresztowaniu rodziców na począt-ı wojny czternastoletni chłopiec zoaje sam. Daje jednak sobie radę — czy się — pracuje w konspiracji — biee czynny udział w powstaniu, ranny cieka z niewoli niemieckiej i ukrywa ę na prowincji. Po odzyskaniu niepodgłości wraca do Warszawy, uczy się ılej, jednocześnie pracuje, by zarobić ı swoje utrzymanie.

W tym samym jednak okresie prze-wa kryzys duchowy, podobnie jak ielu innych jego kolegów z AK — ócz ciężkich warunków bytu składa się na to wspomnienia tragicznej klęi powstania warszawskiego, uraz psyiczny na tle „niedocenienia" zasług kowskiego szeregowca, nie dość jeszcze oże intensywnie przeżyta, typowo pol-a, romantyczna żądza patriotycznego ynu, podsycana przez naszą całą nieal literaturę, przesiąknięta na wskroś mosferą męczeństwa i bohaterstwa.

Przy takim nastawieniu psychicznym ezwykle trudny jest powrót do rzeywistości pracowitego, powszedniego nia. Zwłaszcza, że — i tu właśnie zaiązuje się węzeł dramatu młodego łopca: podziemie działa. Podziemie to ym złym, lecz bezsprzecznie pociągacym urokiem łowi młode dusze, któnie potrafiły jeszcze odnaleźć siebie naszym powojennym świecie, wykującym dopiero nowe formy dla nowej ści.

W konkretnym wypadku — autora tu zwabiono do wyjazdu za granicę. rzymał wiadomość od matki, która wolniona z obozu koncentracyjnego zaymała się w strefie amerykańskiej, z ezwaniem do przyjazdu. Nakreślono wspaniałe perspektywy życia na igracji, jej „świetlane" cele i życzliość Aliantów, zaopatrzono w pieniąe na drogę, oderwano od nauki i prai — ułatwiono nielegalny wyjazd.

Przez długi czas nie dawał o sobie aku życia. W końcu przyszedł list.

„NAUCZYŁEM SIĘ PATRZEĆ..."

Z początku było bardzo pięknie. Doał wspaniały mundur, zaciągnął się do mpanii wartowniczych, złożonych z laków. Potem...

„Wojskowy mundur diabli wzięli mpanie są teraz organizacją o charaerze cywilnym. Chodzimy w ameryńskich mundurach, ufarbowanych na anatowo. Stosunki z Amerykanami skudne. Chorują oni na „panów świa-. Żołd mały, jedzenie bardzo szczu-, w ogóle wszystkiego brak. Środoisko emigracyjne mało wartościowe.

Jednostki o większej dozie inteligencji albo gdzieś za granicą się pourządzały, albo są już w kraju. To, co tu zostało, to banda, która boi się pracy i czeka innego jutra. Jesteśmy przedmiotem różnorodnej propagandy. Zdania są podzielone. W ogóle moim zdaniem emigracja, to bankruci polityczni. Zupełnie przyznaję ci teraz słuszność...

„Ten rok, który spędziłem za granicą, dał mi możność dokładnego poznania naszych zagranicznych przyjaciół— mój sąd o nich w wielu wypadkach nie mógłbym nazwać przychylnym. Reasumując wszystko, doszedłem do wniosku, że okres ten był dla mnie osobiście bardzo potrzebny, gdyż nauczyłem się inaczej patrzeć na świat i ludzi. Jeżeli chodzi o naszych rodaków, to przedstawili mi się oni w jak najgorszym świetle, czasem po prostu wstyd mi za nich. Amerykanie mają nas już powyżej uszu. Toteż starają się wszystkimi sposobami zmusić bractwo do powrotu. Bez wątpienia jest grupa ludzi, którzy ze względów politycznych muszą się z Polską pożegnać, ale reszta według mnie powinna powrócić i zrobi to wcześniej czy później. Za trzy dni kończę 21 rok życia. Jestem jeszcze bardzo młody. Myślę, że w roku 1947 będę mógł już pracować w Polsce i dla Polski! Zbieram manatki i z najbliższym transportem jadę do kraju..."

Ile rozczarowania, ile goryczy bije z tych prostych zdań — cała tragedia zbłąkanych ludzi, za którą odpowiedzialność ponoszą ci, co z całkowitym brakiem poczucia odpowiedzialności, w kraju czy za granicą, niezmordowanie budują przeszkody na naszej trudnej być może, lecz jedynie słusznej drodze.

Może ma rację mój młody przyjaciel, gdy pisze, że rok ten był mu potrzebny, aby nauczyć się inaczej oceniać rzeczywistość. Widocznie jest typem człowieka, do którego łatwiej przemówią własne doznania, niż najrozsądniejszy słowny argument. Nasuwa się jednak refleksja, iż smutny, bardzo smutny jest fakt, że dopiero tak bolesne doświadczenia osobiste konieczne są dla wielu jemu podobnych, aby z daleka spojrzeli innymi oczyma na tę Polskę, którą tak ryzykownie, tak nierozsądnie, tak łatwo opuścili i poszli szukać jej na wygnaniu. Mimowoli przychodzą na pamięć głęboko ludzkie, proste słowa: „Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił..."

W KOGO I W CO ONI WIERZĄ?

A teraz przypatrzmy się bliżej tym „symbolom", których drobny ułamek poznał w obozie mój niefortunny amator zagranicznych podróży.

Podzielić ich można na kilka zasadniczych grup. A więc —

KIEROWNICTWO. Mózg, lub raczej móżdżek emigracji, w którym pomieścić się nie może, że daleka Polska nie chce być instrumentem ich politycznych gierek, że sama sobie według własnych potrzeb urządza swoje własne, ciężkie życie. Ludzie, rozczarowani swą klęską, sprężyna wszystkich antypolskich zagranicznych knowań i intryg, z rachunkiem obciążonym nie tylko zagranicznym żołdem, lecz także i przede wszystkim krzywdą tumanionych na obczyźnie żołnierzy i organizowaniem w Polsce dywersji.

NIEPRZEJEDNANI. Niedobitki dawnego polskiego faszyzmu, lub też łatwowierni wychowankowie świadomego swych celów kierownictwa. Wierzący wszelkim bzdurom o Polsce, kolportowanym szeroko za granicą, często przez... polskich szabrowników, którzy swej ucieczce z kraju chcą nadać „patriotyczne" piętno.

SYBARYCI. W czasie wojny, za granicą, przy pewnym talencie oraz wprawie, nabytek za niesławnej pamięci sanacji, można było nieźle zarobić. Zwłaszcza, gdy się miało do dyspozycji fundusze rządowe i wojskowe. Tacy ludzie mają domy, pałace, majątki lub mająteczki, posady w międzynarodowych instytucjach i wygody, jakich w Polsce oczywiście nie ma. Więc po co wracać? Ale jeżeli się już nie wraca, znacznie ładniej brzmi, gdy się powie, że ze względów „politycznych". Czasami nawet można trochę pobłażliwie akceptować nową polską rzeczywistość i reformy, deklarując „szczerą chęć" służenia sprawie polskiej — za granicą!

NIEZDECYDOWANI. Takich jest już coraz mniej. Pod wpływem docierających obiektywnych wiadomości o Polsce rozwiewa się czad andersowskiej propagandy. Tym bardziej, że wyjaśnia się istotna sytuacja żołnierzy na emigracji. „Polski Korpus Przesiedlenia i Rozmieszczenia w skrócie PKP — czyli tzw. złośliwie „Powojenna Kombinacja Pułkowników" lub „Poco kretynie podpisałeś" nie zachęca do pozostania... Listy od rodzin, które nie docierały do Włoch, zaczynają napływać do Anglii i są przeważnie ostatecznym bodźcem do stawienia się w polskich konsulatach dla załatwienia formalności powrotu. Niektórzy jeszcze „trochę poczekają", aż się w Polsce wyjaśni, bo to mają być wybory... I oni też wrócą.

I WRESZCIE CI OSTATNI. Są szczęśliwi, bo wracają i zarazem najcięższe są warunki ich życia, właśnie dlatego — że wracają. Szykany „nieprzejednanych", uciążliwy pobyt w obozach w oczekiwaniu na transport, trochę lęku — a jak tam naprawdę jest w Polsce? Obcość z początku przy zetknięciu z nową Polską, często trudny start w nieznanych jeszcze warunkach, ale — nareszcie wśród swoich w Polsce.

Silny, zdrowy organizm jest w stanie zwalczyć chorobę. Eliminuje z siebie to wszystko, co powoduje gorączkę. Tak odpadła od macierzystego pnia narodu „góra", tak rozkłada się wewnątrz kraju reakcyjne podziemie. Spotykają się na ziemi polskiej drogi tych, co szli wojennym szlakiem dokoła świata i tych co zbłądzili z własnej czy nie swojej winy, lecz odnaleźli prawdę w Polsce.

Wraca żołnierz spod Tobruku i mój biedny, mały, zawiedziony, lecz uzdrowiony przyjaciel z amerykańskiego obozu w Niemczech. Bo miejsce nasze jest tu. Nie gdzie indziej.

Trzej Królowie

A król Kacper, król niebogaty
Nie jedwabne, lecz lniane miał szaty,
I nie nosił złocistej korony,
Jeno z kłosów wieniec upleciony.

Gdy cud — gwiazda zabłysła w górze,
Nie chciał czekać i chwili dłużej.

A król Melchior w kraju dalekim
Różne zioła miał, różne leki;
Aby ludziom uśmierzać bóle,
Lekującym był Melchior królem.

Gdy cud — gwiazda zabłysła w górze,
Nie chciał czekać i chwili dłużej.

A cygański król, król Baltazar,
Z zabawkami przychodził na bazar
I sprzedawał po groszu, po złotym,
Świecidełka własnej roboty.

Gdy cud — gwiazda zabłysła w górze,
Nie chciał czekać i chwili dłużej.

Spotkali się po drodze Trzy Króle,
Zaśpiewali serdecznie i czule:
Hej, kolęda, kolęda!

A. Narbutt

OD ADMINISTRACJI

Poczynając od 1 stycznia 1947 r wpłaty na prenumeratę „Tygodnia" przyjmują wszystkie urzędy pocztowe na terenie całej Polski.

Traktat z Niemcami w Moskwie



Czy był to zwykły zbieg okoliczności, czy świadoma taktyka? Raczej to drugie. I przeprowadzona doskonale, fair, bez tarć. Wielu, bardzo wielu uśmiechnęło się z zadowoleniem, dowiedziawszy się, że konferencja traktatowa z Niemcami odbędzie się w Moskwie.

Gdy co raz to któryś z ministrów spraw zagranicznych proponował, by kolejna konferencja odbyła się w stolicy jego państwa, minister Mołotow nie oponował. Ale gdy w trzeciej kolejno stolicy uzgodniono wreszcie sprawę traktatów pokojowych z b. satelitami osi i na porządek dzienny ma wejść opracowanie traktatu z Niemcami, Mołotow oświadczył — zapewne nie bez wewnętrznego filuternego uśmiechu:

— Panowie, ta konferencja odbędzie się w Moskwie.

Koledzy pomyśleli chwilę. W Moskwie? Daleko. Głęboki północny wschód. Wichry. Konferencja ma się zacząć 10 marca. Zimno.

Wszystko to Mołotow przewidział i dodał:

— Przecież konferencja Rady Ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw odbyła się już kolejno w Londynie, w Paryżu, ostatnio w Nowym Jorku, więc chyba nadeszła wreszcie kolej i na Moskwę.

Oczywiście, na taki argument nie było co odpowiedzieć.

I oto traktat pokojowy z Niemcami opracowany zostanie w Moskwie. W stolicy państwa, które obok Polski najwięcej ucierpiało od Niemców, w którym zachowywali się tak, jak niegdyś w swej kolonii afrykańskiej Kamerunie.

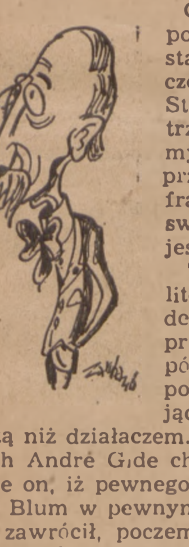
A podpisanie w Warszawie...

Po wyznaczeniu terminu i miejsca konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki w sprawie Niemiec przyszła nowa inicjatywa. Rząd polski zaproponował, aby podpisanie traktatu z Niemcami odbyło się w Warszawie. Jest to wniosek prawie że nie wymagający uzasadnienia. Druga wojna światowa zaczęła się od Polski, na ziemiach Polski się skończyła, Polska w wojnie tej poniosła największe ofiary ludzkie i materialne.

Rzecz charakterystyczna dla naszych stosunków to to, iż prasa polska informację o inicjatywie rządu naszego podała za radiem amerykańskim, podczas gdy radio warszawskie o sprawie tej obszernie informowało na tydzień wcześniej niż N.-Jork. Oczywiście — przychylny głos amerykańskiego komentatora należało zanotować, ale dobrze by było także, by redaktorzy naszych pism i redaktorzy urzędowej agencji nastawiali czasami swoje aparaty na falę warszawską. Okazuje się, że i tam można usłyszeć coś ciekawego i nowego, co potem dopiero powtarza Ameryka.

Okazuje się, iż mamy do przełamania wiele jeszcze kompleksów niższości. Inicjatywa podpisania traktatu z Niemcami w Warszawie przyczyni się niewątpliwie do przełamania jednego z tych ciężkich kompleksów narodowych.

Blum przy władzy



Okoliczności polityczne po raz trzeci w życiu postawiły Leona Bluma na czele rządu Francji. Stwierdzając ten fakt, trzeba właśnie użyć formy biernej, gdyż ten przywódca socjalistów francuskich z natury swojej i z charakteru nie jest człowiekiem władzy.

Ten subtelny krytyk literacki i teatralny, jeden z najwybitniejszych prawników Francji, dość późno stał się aktywnym politykiem, nie przestając być raczej intelektualistą niż działaczem. W swoich wspomnieniach André Gide charakteryzuje Bluma. Pisze on, iż pewnego razu szli ulicą paryską i Blum w pewnym momencie zatrzymał się, zawrócił, poczem przyłączył się z powrotem do swego towarzysza. Gide spytał, co go zawróciło z drogi. Odpowiedź brzmiała: „Tam, widzisz, stał człowiek, który rozdawał ulotki ogłoszeniowe. Przechodząc, zapomniałem wziąć tę ulotkę; wróciłem więc, aby naprawić swój błąd, bo temu człowiekowi byłoby przykro".

tak i nie

Ten subtelny człowiek nie ma wielkich kwalifikacji na męża stanu. Zbyt wiele jest w nim wahań i hamletyzowania, które w rezultacie wychodzą raczej na niekorzyść w sprawowaniu obowiązków. To też niezależnie od innych okoliczności spowoduje, iż Blum niedługo będzie sprawował swe funkcje. Okoliczności bowiem stawiają go wobec zbyt ciężkich i trudnych zadań nie tylko w samej Francji ale i w jej koloniach, jak np. w Vietnamie.

Vietnam w wojnie z Francją

Wypadki, rozgrywające się w Indochinach francuskich przypominają bardzo żywo wypadki, jakich widownią były przez długi czas po wojnie Wschodnie Indie Holenderskie. Ludy kolonialne żądają niepodległości i gotowe są tę niepodległość wywalczyć sobie z bronią w ręku.

Oba te zjawiska, w Indonezji i w Indochinach nie są oderwane. Stanowią one tylko epizody w procesie emancypacyjnym ludów Wschodu. To samo zjawisko obserwujemy przecież w świecie arabskim. Liban, Syria, Egipt, Palestyna — we wszystkich tych krajach ludy albo już uzyskały niepodległość, albo dążą do niej konsekwentnie.

Pod wpływem wypadków w Indonezji Holandia zmuszona była zmienić dotychczasowy statut kolonialny Indonezji i przyznać zamieszkującym wyspy indonezyjskie ludom niezawisłość w ramach stworzonego imperium, w którym Holandia będzie czynnikiem równorzędnym z Indonezją, posiadającą własny rząd.

W Indochinach dokonuje się podobny proces. Azjatyckie kolonie francuskie należały do najbogatszych posiadłości. Inwazja japońska na azjatyckie posiadłości mocarstw europejskich i na wyspy Pacyfiku dokonała pewnego przewrotu. Japonia utworzyła w poszczególnych krajach marionetkowe rządy i przyznała tamtejszym ludom pewną namiastkę wolności. Po klęsce Japonii ludy te nie tylko nie chciały zrezygnować z tej namiastki, ale poczęły się domagać prawdziwej niezawisłości. Zadanie miały ułatwione na skutek wytworzonej po klęsce Japonii próżni administracyjnej. Wobec braku sił wojskowych mocarstw europejskich rządy bez trudu przeszły w ręce miejscowej ludności. Dopiero w miarę napływania sił wojskowych z Europy rozgorzały walki.

Krwawe zamieszki, jakie wybuchły na terenie Indochin francuskich, zmusiły rząd francuski do utworzenia autonomicznej republiki pod nazwą Vietnam, obejmującej Indochiny, Kochinchinę i Annam. Republika wchodziła w skład Unii Francuskiej, obejmującej zamorskie posiadłości francuskie z wyjątkiem Algieru, uważanego od dłuższego czasu za część składową Francji i podzielonego na departamenty. W ramach Unii władza zwierzchnia należy oczywiście do czynników francuskich.

Dokładnie statut organizacyjny Vietnamu nie jest nam znany. Widocznie jednak nie zaspokajał w zupełności żądań Annamitów, gdyż w okresie Bożego Narodzenia wybuchły krwawe rozruchy.

Ostrze na ostrze

GDYRALSCY I WYDRZYŹNIALSCY

kazali się kłaniać...

Kobieta rozsądna, która posiada pewien zasób wiadomości z zakresu teorii i praktyki subtelnej sztuki obmowy, nigdy się nie skrzywi, gdy towarzyszący jej mężczyzna niebacznie pochwali urodę przypadkowo mijanej piękności.

— Tak, rzeczywiście jest urocza! Te włosy, te oczy, ta figura! Tylko podobno ma mieć biedactwo sztuczne zęby... Inna rzecz, że ślicznie zrobione!

Zmiażdżony tymi „zębami" mikroskopijny zarodek myśli o zdradzie, kiełkujący być może nieśmiało w niewiernej męskiej duszy — w jednej chwili zostaje unicestwiony.

Oto, co zdziałać może umiejętne wyrażanie sądu o przyjaciołach i przyjaciółkach...

Stanowczo warto byłoby zastanowić się nad możliwością zastosowania tego rodzaju krytyki w polemikach prasowych, wystąpieniach politycznych i w ogóle w całej naszej rodzimej propagandzie. Czy nie odniosłoby to lepszego skutku, niż ciskanie na głowy przeciwników gromów i słów pogardy.

Pomysł ten wpadł mi do głowy przy lekturze naszej znakomitej „Gazety Ludowej", która podobno ma być wiejskim organem. Zdrowy, krzepiący humor ożywia artykuły tego „pisma dla wszystkich". Najbardziej cennymi są te tony i półtony przy omawianiu spraw gospodarczych. Redakcja „Gazety Ludowej" urozmaica poważne i często dla przeciętnego czytelnika nudnawe sprawy pikantnymi dowcipuszkami.

Naprzykład — chciałby, oj, chciałby kolega (rw) powiedzieć co myśli o przemówieniu ministra Minca na Kongresie Techników w Katowicach. Ale jakoś nie wypada — blokowcy znów podnoszą krzyk, że „Gazeta Ludowa" jest czemuś tam zawsze przeciwna... Lepiej więc go pochwalić za „żołnierską koncepcję", „wojskową taktykę", nazwać wywody „pokrzepiającym poetyzowaniem", a plan trzyletni, czyli „buraczkową księgę" ochrzcić mianem „bajki, która ma zmienić nasze życie" i „arcypowabnym obrazem".

Albo weźmy dla przykładu wdzięczny temat cen. Jakże pogodny jest artykulik o cenach na Wybrzeżu pod uśmiechniętym hasłem „Jutro będzie lepiej" — w cudzysłowie. Szlachetna akcja ukrócenia paskarstwa jest oczywiście „radosną twórczością", a kombinatorzy-kupcy (a to filuci!) nic sobie nie robią z wszelkich zapowiedzi i nie szczędzą wysiłków, by „piękne i krzepiące słowa pokrycia nie miały". Członkowie spółdzielni „Zgoda" realizują zwolna „marzenia o jedwabnym życiu" — co za przydziały fantastyczne oni tam otrzymują!!!

Dalej w artykuliku jest krytyka handlu, potem rejestr przeróżnych grzechów poczty (też figlarze, a fe...) i na zakończenie narodek znów się weseli i krzepi nadzieją. Czyż to nie urocze podejście do tzw. w żargonie dziennikarskim — naszej polskiej rzeczywistości? Takie krzepiące.

Czasami znów miły kolega-reporter z „Gazety Ludowej" jest wzruszająco i rozczulająco bezradny. Np. na konferencji prasowej, zorganizowanej przez spółdzielców, którzy wrócili z wizyty w Związku Radzieckim, mówcy umyślnie znęcali się nad biednymi dziennikarzami. „W ciągu trzech godzin starali się dosłownie przytłoczyć uczestników konferencji bogatym materiałem". To „wtłaczanie" wiadomości do głów dziennikarskich... „poniekąd wpłynęło na zagubienie linii przewodniej problemu". Wszystko tak dokładnie pomieszało się panu koledze w głowie, że nie jest pewien, czy dobrze zapamiętał dane, dotyczące rozwoju spółdzielczości w Związku Radzieckim. Nie pisze więc dla wszelkiej pewności, że spółdzielni pracy jest 11 tysięcy, tylko „ma być", a spółdzielni spożywców „ma być" 26.498, przy czym każda z nich „ma mieć" przeciętnie 8 sklepów.

I teraz niech kto zgadnie: „ma być" — czy to znaczy, że dopiero będzie, czy też, że „ma być", bo tak mówią, ale właściwie nie bardzo wiadomo, jak tam z tym naprawdę? Może to taka trochę „bujana" propaganda z tą spółdzielczością w Sowietach?... Ale temat ciekawy, o bardzo ciekawy, co podkreślono aż parę razy. I teraz proszę, niech kto zrobi zarzut „Gazecie Ludowej", że nie podziwia spółdzielczości w ZSRR!

Proponujemy rozpisanie konkursu na sztukę sceniczną pt. „Szkoła Obmowy" według Sheridana i Bogusławskiego z przetransponowaniem akcji na dzisiejsze nasze czasy. Pierwsza nagroda — komplet „Gazety Ludowej".

Avis.

NASZA OKŁADKA



Trzej Królowie — Monarchowie w/g obrazu Piotra Stachiewicza

Myślmy o węglu

Ostatnie dni 1946 roku przyniosły nam nowy wielki sukces gospodarczy. Przemysł węglowy przekroczył o milion ton przewidzianą liczbę wydobycia węgla, osiągając 47 milionów ton, podczas gdy w r. 1938 wydobywaliśmy 38 milionów ton. Węgiel stanowi najgłówniejszą pozycję w naszym eksporcie. Wywozimy go do szesnastu krajów Europy, w czym wywóz do Związku Radzieckiego stanowi 16 proc. ogólnej naszej produkcji.

Tutaj przypomnieć trzeba, iż wywóz ten nie jest w naszej gospodarce niczym nowym. I przed wojną Polska eksportowała również węgiel do ZSRR. Rzecz polega na tym, że Sowietom bardziej się opłaca nabywać węgiel dla swoich zachodnich terytoriów w Polsce, niż przewozić go z własnego, ale daleko położonego Zagłębia Donieckiego.

Wzrost produkcji węgla odbija się pomyślnie nie tylko na naszym eksporcie, ale także na rozwoju przemysłu i na domowym spożyciu. To spożycie wynosi obecnie 1.480 kg na głowę mieszkańca, podczas gdy przed wojną wynosiło 720 kg.

Dobrze by było, ażeby te głowy polskich obywateli, o których mówi statystyka, solidnie pomyślały o tych naszych niewątpliwych sukcesach gospodarczych.

Jeszcze „przewietrzanie" historii



Zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Tygodnia" artykuł Marii Dąbrowskiej „O „przewietrzaniu historii" spotkał się z obszernym omówieniem „Kuźnicy". Jest to zrozumiałe, że artykuł znakomitej pisarki zainteresuje szeroką opinię.

Polemika „Kuźnicy" polega raczej na rozwinięciu myśli tam, gdzie kończy swą wypowiedź Dąbrowska. „Kuźnica" omawia dalszy rozwój pokojowej „agresji" Polski na Wschód. Niewątpliwie w pierwszym okresie historycznym ta „agresja" miała wszelkie cechy pozytywne w zakresie i kulturalnym i politycznym. Z czasem wyrodziła się, ale to już jest zwykła kolejność rzeczy. Podobna bowiem była w świecie rola kapitalizmu, który w pierwszym okresie swego rozwoju stanowił pozytywny czynnik historyczny, a później dopiero stał się czynnikiem szkodliwym, hamującym dalszy rozwój ludzkości.

Nieistotny, zdaniem naszym, jest zarzut „Kuźnicy", iż autorka „Nocy i Dni" w artykule swoim nie mówi o tym drugim okresie polskiej ekspansji na Wschód. Tematem artykułu bowiem było wyłącznie zagadnienie pozytywnej roli Polski na ziemiach wschodnich w jednym tylko okresie.

Samodzielna Bawaria

W Bawarii uchwalono znaczną większością głosów własną konstytucję, która wywołała w całych Niemczech wielką burzę. Zwłaszcza Prusacy ciskają gromy na Bawarczyków. W myśl konstytucji bowiem Bawaria ma być oderwana od reszty Niemiec i istnieć jako niezależne państwo. W konsekwencji, którą konstytucja zresztą wyraźnie określa, wszyscy inni Niemcy traktowani będą w Bawarii jako cudzoziemcy.

Nie wiadomo, jakie stanowisko zajmie w całej tej sprawie Rada Ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, która ma się zebrać w marcu w Moskwie celem opracowania traktatu pokojowego z Niemcami. Jeśli zaakceptuje niezależność Bawarii to zaistnieje konieczność zawarcia z nią osobnego traktatu.

„WASZE GŁOSY - DLA BLOKU STRONNICTW DEMOKRATYCZNYCH!"

SPÓŁDZIELCZOŚĆ POLSKA W OBLICZU WYBORÓW

DO WSZYSTKICH SPÓŁDZIELNI W POLSCE

Spółdzielcy!

Wybory do Sejmu są doniosłym aktem w życiu narodu, są świadectwem jego siły i świadectwem siły rządów demokratycznych.

Od pierwszych dni wyzwolenia — PKWN, a później Rząd Jedności Narodowej podjęły dzieło odbudowy zniszczonego kraju i dzieło przebudowy społecznej państwa. Przebudowy, do której nie dopuszczał kapitalizm, który zawsze chciał widzieć i chce widzieć jeszcze w Polsce kraj drugiej klasy, kraj niskich zarobków robotniczych i niskich cen rolnych.

Twardo i konsekwentnie, dzień po dniu we wspólnym wysiłku i trudzie ludu pracującego miast i wsi ze zgliszcz, popiołów, ruin podnosiło się życie Odrodzonej Ojczyzny.

W bitewnym, zwycięskim zmaganiu się żołnierza polskiego wraz z Armią Czerwoną przeciw germańskiemu najeźdźcy wykuwały się fundamenty polsko-radzieckiego sojuszu i współpracy z narodami słowiańskimi — wykuwały się nowe horyzonty wielkich i trwałych możliwości naszego życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

W twórczym wysiłku Rządu Jedności Narodowej w oparciu o żywą, ofiarną i sumienną większość Narodu zostały założone pod gmach nowego Państwa Polskiego podwaliny zapewniające możność dotrzymania kroku współczesności i trwałej rozbudowy przyszłości.

Pośród tej zwartej i czynnej większości narodu polskiego znalazł się od pierwszych dni walki i pracy cały ruch spółdzielczy.

Dziś ta większość Narodu — to blok Stronnictw Demokratycznych i Związków Zawodowych. Blok, który stanął przed historią naszą w dziele wiekopomnych reform:

— w oddaniu wielkiego przemysłu na własność Narodu!
— w oddaniu ziemi obszarniczej na własność chłopu!
— w wytyczeniu słupów granicznych nad Odrą, Nyssą i Bałtykiem!

Obywatele i Obywatelki!

Spółdzielczość jest ruchem społecznym, który od swych początków walczył w życiu gospodarczym o te wszystkie ideały, które głosi i które obraca w czyn od pierwszych dni wyzwolenia Blok Demokratyczny. W tej pracy spółdzielczość dokonała olbrzymiego wysiłku. Stała się obok państwa i obok inicjatywy prywatnej podstawowym odcinkiem nowej gospodarki polskiej, odbudowała tysiące fabryk, magazynów i domów, odbudowała potężną sieć handlową, przekroczyła wbrew wszelkim przypuszczeniom wszystkie osiągnięcia przedwojenne.

Jeżeli mogła tego wszystkiego dokonać, to tylko dzięki współpracy ze świadomym politycznie chłopem i robotnikiem, ze Związkami Zawodowymi, z demokratycznym ruchem kulturalnym. Nigdy w ustroju szlachecko-kapitalistycznym spółdzielczość nie mogłaby zdobyć dla swoich członków, dla mas pracujących miast i wsi więcej niż już zdobyła, i niż może zdobyć w najbliższej przyszłości w ustroju demokracji ludowej.

Spółdzielcy!

Pracy i dzieła raz podjętego nie wolno nam przerwać.

W wysiłku nie wolno ustać!

Wybór jest prosty i jasny. Wchodzimy w trwały okres pokoju.

Nie stać nas na rozproszenie energii i na polityczne rozbicie. Nie stać nas na tolerowanie wrogów jedności narodowej i społecznego postępu — na tolerowanie wstecznictwa i rodzimej reakcji. Nie możemy pozwolić bandom podziemia na dalszy rabunek mienia społecznego.

W interesie Polski leży jaknajszybsze przejście do rządów mających za sobą całą powagę aktu prawnego, powszechnych wyborów.

Trzeba nam spokoju i stabilizacji.

Skończenia z tymczasowością i walkami wewnętrznymi.

Przed nami nowe zadania i dalsze obowiązki.

WYKONANIE TRZYLETNIEGO PLANU ODBUDOWY, ZAGOSPODAROWANIE ZIEM ODZYSKANYCH — TO SPRAWY, KTÓRE STANOWIĄ O NASZYM ISTNIENIU NARODOWYM!!!

Wykonanie trzyletniego planu odbudowy —

— to jaknajszybsza poprawa bytu mas robotniczych, chłopskich i pracującej inteligencji,

— to uprzemysłowienie kraju i podniesienie poziomu gospodarczego rolnictwa,

— to rozbudowa spółdzielczości na wsi i w mieście,

— to dalsze powiększenie ilości sklepów, magazynów, fabryk i domów spółdzielczych,

— to upowszechnienie oświaty i kultury i zapewnienie ładu i bezpieczeństwa kraju.

Spółdzielcy!

Wasze głosy w dniu wyborów do Sejmu — dla zwycięstwa najlepszych sił polskiej demokracji ludowej.

Wasze głosy — dla Bloku Stronnictw Demokratycznych, — dla skupienia wysiłku całego społeczeństwa wokół najważniejszych spraw Narodu, których los leży w zwycięstwie sił Bloku Demokratycznego.

„Społem" — Związek Gospodarczy Spółdzielni R.P.

Przewodniczący Rady Nadzorczej *Stanisław Bieniek*

Prezes Zarządu *Jan Żerkowski*

Bank Gospodarstwa Spółdzielczego

Przewodniczący Rady Nadzorczej *Stanisław Tołwiński*

Przewodniczący Zarządu zast. *Henryk Skałecki*

Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane

Przewodn. Rady Nadzorczej *Marian Nowicki*

Prezes Zarządu *Wojciech Piróg*

Związek Zawodowy Pracowników Spółdzielczych RP.

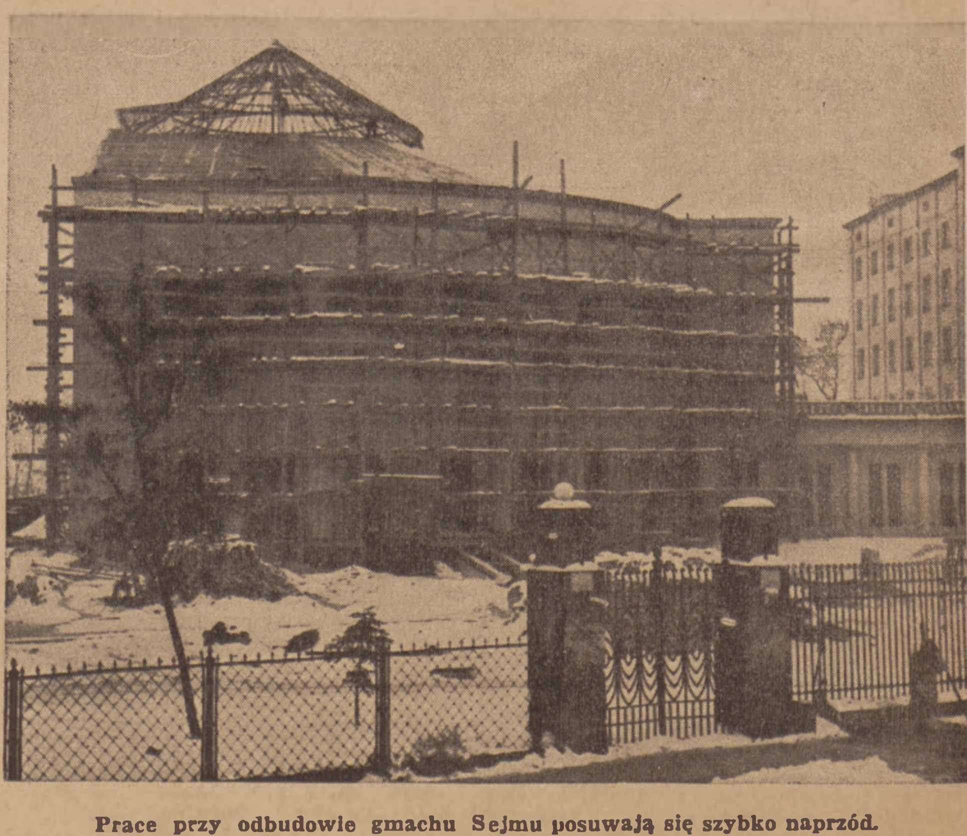
Prezes Zarządu *Karol Michalski*

Sekretarz Generalny *Henryk Jędrzejewski*

Związek Rewizyjny Spółdzielni RP

Przewodniczący Rady Głównej *Daniel Kuszewski*

Prezes Zarządu Głównego *Edmund Pszczółkowski*



Prace przy odbudowie gmachu Sejmu posuwają się szybko naprzód.

Zbrodniarze przed sądem



Na ławie oskarżonych przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie: od lewej: Fischer (zeznaje), Leist, Meissinger i Daume.

(rys. J. Żebrowski)

SYLWETKI

Nakładem odrodzonego we Wrocławiu Michała Arcta wyszła książka prof. dra Bohdana Suchodolskiego — pod przydługim tytułem: „Polskie tradycje demokratyczne — Idea demokracji w ujęciu myślicieli polskich od St. Staszica do St. Witkiewicza“. O ile wolno mi wydać sąd o działalności naukowej prof. Suchodolskiego na podstawie tych jego rzeczy, które znam (np. „Kochaj życie, bądź dzielny“, „Ideały kultury a prądy społeczne“, „Kultura i osobowość“), nie uważałem go za badacza oryginalnego i twórczego, za „inicjatora“ w nauce czyli za odkrywcę i torownika nowych dróg. Widziałem w nim pożytecznego wykładacza tego, co inni stworzyli; ceniłem w nim objaśniacza, przyczynkarza, komentatora, szperacza czyli jednego z tych szeregowych pracowników nauki, na których wznosi się niejako jej gmach, aby dopiero na szczyt jego wstępowali generałowie i marszałkowie wiedzy. Dwa zwłaszcza najważniejsze, podstawowe dzieła prof. Suchodolskiego utrwaliły we mnie powyższe o nim przekonanie — mianowicie: „Ideały kultury“ oraz „Kultura i osobowość“. Są to wypisy (czytanki) z dzieł myślicieli naszych XIX i XX wieku, czyli rodzaj chrestomatii, która, ażeby ją dobrać i ułożyć, wymaga wprawdzie zycflajszu, ale nie wymaga twórczości.

I dopiero co wydane „Polskie tradycje demokratyczne“ są również rodzajem wypisów, z tą różnicą, że jeśli w poprzednich swych dziełach prof. Suchodolski dawał w wyjątkach teksty oryginalne, w ostatnim dziele mówi o naszych myślicielach demokratycznych „swoimi słowami“, streszczając ich poglądy i tylko od czasu do czasu przeplatając streszczenie cytatami. Możnaby tedy zadać pytanie, czy podobny utwór jest celowy i pożyteczny? Czy nie szkoda, jak to mówimy, czasu i atłasu? Owszem, utwór taki jest celowy i pożyteczny, jeśli odpowiada pewnym koniecznym warunkom. Jednemu zresztą, aktualnie doraźnemu warunkowi, odpowiadałby niewątpliwie: tym warunkiem jest brak u nas po wojnie książki naukowej, głód takiej książki, potrzeba dobrych książek popularyzatorskich, przeznaczonych dla najszerszych mas czytelniczych. Ale, jeśli z tego stanowiska zaaprobujemy trud prof. Suchodolskiego (sam on w przedmowie powiada, że napisał swą książkę „nie dla specjalistów, lecz dla ogółu“), mimo to — właśnie z punktu widzenia popularyzacji — trzeba uczynić autorowi co najmniej trzy zarzuty. Książka o charakterze popularnym, naukowo-propagandowym, powinna — oprócz „sylwetek myślicieli“ (jak się wyraża prof. Suchodolski) dać jeszcze szaremu czytelnikowi trzy rzeczy: 1) komentarz historyczny, 2) komentarz rzeczowy, 3) komentarz filologiczny. Pierwsze dwa powinny dotyczyć epoki, na której tle dana „sylwetka“ myśliciela wyrasta, oraz bio- i bibliograficznych wiadomości o nim, aby czytelnik, skoro go któryś z myślicieli zainteresował, mógł sobie wiedzę o nim poszerzyć. Prof. Suchodolski, poza datą urodzin i śmierci poszczególnych myślicieli, nie informuje o nich bliżej. Najwyżej używa jakichś ogólników, które raczej mogą wywołać zamęt w głowie szarego czytelnika, spustoszonej przez wojnę. Oto, dla przykładu, próba charakterystyki Kazimierza Krauza: „Wprawdzie zdrowie nie pozwalało Kazimierzowi Krauzowi (1872—1906) na działalność polityczną w zakresie praktycznym, ale w dziedzinie sformułowań programowych rola jego była bardzo znaczna. Prowadził on w sensie duchowym obóz polskich socjalistów, dostarczając im argumentacji ścisłej i dokładnej. Najbardziej praktyczne i taktyczne zagadnienia bieżącej polityki widziane zawsze były przez Krauza w perspektywie podstawowych założeń i wymagań poglądu na świat“. I tam dalej. I tak prawie o wszystkich myślicielach. I daj tu sobie rady, czytelniku, z taką sylwetką. Co się zaś tyczy trzeciego ze wzmiankowanych komentarzy, powinny nim być zwykłe objaśnienia językowe, konieczne w dziele, przeznaczonym dla najszerszego ogółu. Co to jest np. „utylitaryzm“? Albo, co to znaczy „absolut“? Albo: „archimedesowy punkt oparcia“? Albo: „metafizyczny walor“? Ręczę, że szeroki ogół tych spraw nie zrozumie.

Cięższy wszelako, niż te, możnaby podnieść przeciw książce prof. Suchodolskiego, zarzut. Jest nim dowolność i widzimisię w doborze myślicieli demokratycznych. O niektórych z nich sam profesor wykłada, że nie byli to właściwie, w całym słowa znaczeniu, demokraci — np. Hoene-Wroński czy Trentowski. Mimo to poświęca im profesor po kilkanaście stron i tak ich tłumaczy: „Tren towski, podobnie jak Wroński, nie głosił haseł demokra tycznych w sposób zdecydowany i bezwzględny; nie bra udziału w działalności obozu demokratycznego ani w Pol sce ani na emigracji. Miał opinję... człowieka przekonan konserwatywnych. Mimo to istnieje wiele słusznych po wodów, by go w naszym przeglądzie nie pominąć. Przed wszystkim dlatego, że był jednym z najwybitniejszyc myślicieli polskich XIX stulecia i że interesował się żywo **także** zagadnieniami politycznymi“. Nie jestem pewien, czy takie argumenty wystarczają, by z Trentow skiego zrobić demokratę. Ale to już są takie konik uczonych. Cywiński np. całe życie zużył na to, by do wieść, że Norwid jako poeta przewyższał Mickiewicza Słowackiego i Krasińskiego razem wziętych. Kucharsk kruszył ze wszystkimi kopie o to, że „Pan Jowialski“ jest „krwawą ironią“ i „gryzącym sarkazmem“, tragedi o fatalizmie niemal ajschylesowym. Dla Suchodolskieg Trentowski będzie demokratą. Przy takim patrzeniu n sprawy, często bywa, że nie zauważa się słonia. Rzeczy wiście: jest w książce Suchodolskiego Mickiewicz i Nor wid, a nie ma Słowackiego — istnego demokraty, z jeg „duszą anielską“ i „czerepem rubasznym“ etc. Jest Prus a brak Orzeszkowej. Jest dosyć mętny mistyk demokra tyczny z czasów Wielkiej Emigracji — Ludwik Król kowski, który ogłaszał za granicą alegoryczną „Pochwa łę rodu gęsiego, wypowiedzianą przed obliczem Bożem“ napróżno jednak szukalibyśmy takich prawdziwych bo jowników i męczenników demokracji polskiej z owyc czasów, jak Szymon Konarski lub ksiądz Ściegienny którzy śmiercią bohaterską i więzieniami przyświadczal swej ideologii. Jest wreszcie Józef Karol Potocki (pro Suchodolski nazywa go Janem Karolem), ani słowa — szlachetny publicysta demokratyczny z epoki „Prawdy Świętochowskiego, ale czyż nie znaczniejszy, bardzie znany i zasłużony był — powiedzmy — Ignacy Daszyńsk którego brak?

Ohe, les psychologues! — mawiał żartobliwie Przyby szewski, gdy chciał wyrazić swoją niewiarę w rozmait „głębie“ i „analizy“ psychologiczne. O, ci objaśniacz wykładacze, interpretatorzy, egzegeci, komentatorzy, przy czynkarze, szperacze, przykrawacze...

Jerzy Wyszomirsk

SPÓŁDZIELCY POLSCY
Z WIZYTĄ U SPÓŁDZIELCÓW RADZIECKICH

Przedstawiciel „Tygodnia" uzyskał wy-iad z przewodniczącym delegacji spół-zielczości polskiej prezesem „Społem" anem Żerkowskim na temat dwutygodnio-ego przeszło pobytu w ZSRR w gościnie spółdzielców radzieckich.

— Była to — zagaja prezes Żerkow-i — pierwsza wycieczka spółdzielców olskich do ZSRR. W ciągu całego ubie-ego dwudziestolecia spółdzielcy Polski Związku Radzieckiego nie mieli ze so-ą bezpośredniego kontaktu i oba ru-hy rozwijały się o miedzę, nie znając ; wzajemnie. W skład naszej delegacji chodzili przedstawiciele „Społem", w. Rewizyjnego. Banku Gospodarstwa półdzielczego i Społecznego Przedsię-iorstwa Budowlanego, a więc repre-ntacja czterech największych central półdzielczych.

— Jakie wrażenia odniósł pan Prezes z tknięcia się ze spółdzielcami radziec-m?

— Przyjmowani byliśmy z dużą goś-nnością i serdecznością. Podczas krót-ego pobytu w ZSRR w Moskwie i w en ngradzie oraz w okolicach tych iast pomiędzy nami i naszymi gospo-rzami wytworzył się stosunek pogłę-ającej się wciąż sympatii. Mieliśmy ale trzech przewodników, których za-niem było udzielenie nam potrzebnym jaśnień i robienie wszelkich ułat-ień. Jednym z tych przewodników był stepca przewodniczącego radzieckiego entrosojuzu M. Szachurin.

— Co to jest Centrosojuz?

— Jest to — jeżeli porównamy z na-ymi stosunkami — tak jakby „Spo-m" i Związek Rewizyjny Spódzielni zem wzięte. W Rosji istnieje jedna ntrala spółdzielcza zarówno gospodar-a, jak i rewizyjna.

— Czy program pobytu obejmował wy-cznie zaznajomienie się ze spółdzielczoś-ą i jej zdobyczami?

— Mieliśmy możność zaznajomienia ; również — o tyle, o ile nasz krótki byt na to pozwalał — z życiem, urzą-eniami i zabytkami kulturalnymi Mo-wy i Lenigradu. Zwiedziliśmy Kreml mauzoleum Lenina, Tretiakowską ga-rię zawierającą muzeum oraz malar-wo od XIV wieku aż do czasów dzi-ejszych, słynne metro moskiewskie, liśmy w szeregu teatrów. W Leningra-e poza Ermitażem, zwiedziliśmy mu-um obrony Leningradu, które uczyni-na nas duże wrażenie. Mieszkańcy eningradu dumni są z obrony miasta, óra trwała 900 dni często w bardzo ężkich warunkach i doprowadziła w ńcu do odparcia nieprzyjaciela. Mu-um jest świadectwem ogromnego u-ru pomysłowości i ofiarności obroń-ców, oraz ich zdolności organizacyjnych. Z urządzeń gospodarczych — poza spół-dzielczymi — zwiedziliśmy wielkie pań-stwowe sklepy uniwersalne, w tym ro-dzaju jak u nas sklep Braci Jabłkow-skich.

— A z instytucji spółdzielczych?

— Widzieliśmy ich cały szereg. Naj-ciekawsze było dla nas zetknięcie się bezpośrednio z placówkami terenowymi. W okolicach Moskwy zwiedziliśmy tzw. Sielpo w miejscowości Rastargujewo. Sielpo — to podstawowa komórka spół-dzielczą. Jej nadbudowę stanowi Zwią-zek Rejonowy, odpowiadający naszemu powiatowemu. Takich Sielpo (spółdziel-nia wiejska) jest w całym ZSRR ponad 26 tysięcy. Sielpo, które poznaliśmy po-siada na miejscu jeden sklep spożyw-czy, jeden z artykułami przemysłowymi oraz jedną „czajną" (herbaciarnia) i sto-łówkę. Tu muszę podkreślić, iż „czajne" i stołówki odgrywają w spółdzielczości radzieckiej dość poważną rolę w związ-ku z rozpowszechnionym tam żywieniem zbiorowym. Ich obrót stanowi 10% ca-łego obrotu detalicznego spółdzielczo-ści spożywców. Sielpo posiada własne gospodarstwo hodowlano-rolne— poza kołchozem — z którego produkty idą na użytek stołówki. W ogóle na organi-zację spółdzielczą wsi składają się trzy elementy: kołchoz — spółdzielnia rol-na pracy, sielpo — spółdzielnia spo-żywców i artel — spółdzielnia pracy. Kołchoz mieliśmy możność zwiedzić w rejonie Dymitrowa w miejscowości Nastazino. Wybór był zupełnie przy-padkowy, mianowicie jeden z nas ży-czył sobie obejrzeć okolicę, gdzie prze-bywał podczas pierwszej wojny świa-towej jako jeniec wojenny.

— Jak pan Prezes scharakteryzuje spół-dzielczością radziecką?

— Ustrój tej spółdzielczości jest de-mokratyczny. Nawet przyjęcie nowego członka musi być zatwierdzone przez Zgromadzenie. Spółdzielnie odbywają stale zebrania członków: kwartalne, roczne oraz wyborcze — raz na dwa lata, o frekwencji sięgającej do 90% członków. Jednocześnie jednak istnieje ścisłe współdziałanie każdej spółdzielni z nadbudową organizacyjną. Związek Rejonowy ma wpływ na działalność każdej spółdzielni mogąc nawet odwo-łać jej kierownika o ile jego działal-ność budzi zastrzeżenia — i zarządzić nowe wybory. Całość pracy spółdziel-czej wiąże się z ogólnym planem pię-cioletnim. Do planowania przywiązuje się w spółdzielczości, jak i wszędzie wielką wagę. Nawet wynagrodzenia pracowników spółdzielczych uzależnio-ne są od wykonania planu, przy czym osiągnięcie nadwyżek jest specjalnie premiowane. Poza tym istnieją odzna-czenia honorowe dla ludzi, którzy od-znaczyli się wyjątkową wydajnością pracy spółdzielczej. Wyniki ich pracy oraz fotografie wywieszane są na tabli-cach.



Delegacja spółdzielczości polskiej w gościnie u radzieckiego Centrosojuzu. Siedzą od lewej: w pierwszym rzędzie — Jan Wójcik, członek Rady Nadzorczej Związku Rewizyjnego i „Społem"; Teodor Piotrowski, wiceprezes Zarządu „Społem"; Jan Zerkowski, prezes Zarządu „Społem" i przewodniczący delegacji; J. S. Chochław prezes Centrosojuzu, J. Niemiec, wiceprezes Zarządu „Społem". Stoją: w drugim rzędzie: L. Pawłowski, dyr. Banku Gospodarstwa Spółdzielczego; T. Wojnowski, członek Zarządu Zw. Rewizyjnego; F. Kusto, członek zarządu „Społem"; E. Szubert, dyr. Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego; J. Dominko, sekretarz Prezydium Zarządu „Społem" i M. Szachurin, zastępca przewodniczącego Centrosojuzu.

— Jaki jest udział spółdzielczości w wy-konaniu planu pięcioletniego.

— Wynika on z charakteru poszcze-gólnych gałęzi spółdzielczości. Spół-dzielczość spożywców obecnie obejmu-je wyłącznie wieś i zadaniem jej jest zaopatrzenie wsi w artykuły przemy-słowe oraz obrot pozakontyngentowy nadwyżkami kołchozów i produktami gospodarstw indywidualnych kołchoź-ników. Przewiduje się dalsze, znaczne rozszerzenie działalności spółdzielczo-ści spożywców. W krótkim czasie ma ona objąć również i miasta, co da po-większenie znaczenia ruchu spółdziel-czego w Z. S. R. R. Jednym z celów pięciolatki jest podniesienie stopy ży-ciowej obywateli ZSRR, a więc dostar-czenie im przedmiotów codziennego użytku. Będzie to w dużej mierze za-daniem spółdzielczości a mianowicie jej gałęzi przemysłowej. Spółdzielczość przemysłowa, którą możnaby nazwać spółdzielczością pracy — to t. zw. ar-tele, wyrastające z dawnej tradycji ar-telowej ludu rosyjskiego. Ich rozwój zwłaszcza w Republice Rosyjskiej pre-dysponuje tę gałąź spółdzielczości do odegrania szczególnej roli właśnie w zakresie dostarczenia przedmiotów co-dziennego użytku. 15 tys. arteli obej-muje 21 gałęzi drobnego przemysłu, li-czących jeden milion członków.

— Czy w ZSRR istnieje całkowita koope-ratyzacja?

— Do tego się dąży. Udział w spół-dzielczości jest dobrowolny i jej kadry rozszerza się drogą wychowa-nia, propagandy oraz atrakcyjności ko-rzyści, jakie daje udział w spółdziel-ni W tej chwili do spółdzielczości spo-żywców należy 35 milionów członków, czyli ok. 25% ludności wiejskiej. Członkami spółdzielni są nie tylko gło-wy rodzin, ale członkowie rodzin od 16-go roku życia.

— Czy pan Prezes znajduje w spółdziel-czości radzieckiej wzory dla spółdzielczo-ści polskiej?

— Zaznajomienie się z dorobkiem, metodami pracy i doświadczeniami spółdzielczości radzieckiej, utrzymanie stałego kontaktu z nią przyniesie nie-wątpliwie dużą korzyść dla nas, nie mówiąc już o tym, że przyczyni się do pogłębienia wzajemnego zrozumienia i współpracy między obu narodami. Spółdzielczość radziecka rozwija się jednak w innych warunkach historycz-nych, geograficznych i ustrojowych. Spółdzielczość polska tworzy swoje własne metody i posiada swój własny układ struktury i gospodarki.. Zapo-znanie się bliżej między kooperacją polską i radziecką pozwoli na wprowa-dzenie pewnych wzorów i doświad-czeń z korzyścią dla sprawy naszego ruchu.

NAGRODA „TYGODNIA"

za najlepszą książkę polską, wydaną w latach 1945-1946

Redakcja „Tygodnia" ustanowiła doroczną nagrodę na najlepszą książkę polską. Po raz pierwszy nagroda ta przyznana będzie za książkę wydaną w latach 1945–1946.

Wysokość nagrody wynosi 100.000 zł

Nagroda przyznana będzie na podstawie decyzji Sądu Konkursowego, którą poprzedzi głosowanie Czytelników „Tygodnia". W głosowaniu tym Czytelnicy wytypują dziesięć najcelniejszych dzieł, spośród których Sąd wybierze laureata.

W skład sądu konkursowego wejdą przedstawiciele Związku Zawodowego Literatów Polskich, Ministerstwa Kultury i Sztuki, Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień" i Redakcji „Tygodnia".

Szczegóły, dotyczące zasad przyznania nagrody „Tygodnia" i zasad głosowania Czytelników, podamy w najbliższym numerze.

ROZSTRZYGNIĘCIE
WIELKIEGO
KONKURSU
FOTOGRAFICZNEGO

podamy w następnym numerze.

FILOZOFIA ZBRODNI

Prof. Bohdan Suchodolski o genezie ideologii hitleryzmu

W ocenie czynów przestępców niemieckich przez sprawiedliwość europejską podstawowe znaczenie posiada zrozumienie samej istoty hitleryzmu, odnalezienie źródła bezprzykładnego w dziejach świata nagromadzenia zbrodni, nihilizmu oraz pokrywającej potworność czynów przewrotnej moralności współczesnych Niemiec. Nauka, bardziej jeszcze w tym wypadku, niż w jakimkolwiek innym odegrać musi rolę ważnego współczynnika wymiaru sprawiedliwości. Dociekania natury biologicznej, psychopatologicznej, socjologicznej, historiozoficznej i filozoficznej zmierzają do wyjaśnienia straszliwej zagadki dziejowej: odnalezienia sprężyn, które wprawiły w ruch hitlerowską machinę okropności.

Jednym z bardziej interesujących i głębokich momentów procesu Fischera i tow., procesu, zw. nego „Warszawską Norymbergą", były zeznania biegłego w zakresie filozofii niemieckiej prof. Bohdana Suchodolskiego.

Wysłannik „Tygodnia" red. Marek Sadzewicz przeprowadził z prof. Suchodolskim rozmowę na tematy związane ze złożoną przezeń sądowi opinią.

— Czy światopogląd hitlerowski jest czymś co narodziło się razem z „Mein Kampf", czymś oderwanym od dotychczasowego rozwoju myśli niemieckiej?

— Przeciwnie. Źródeł tego światopoglądu należy dopatrywać się w rozwoju filozofii niemieckiej, będącej odbiciem niemieckiej duszy narodowej. Filozof niemiecki XIX wieku Chamberlain słusznie jest uważany za prekursora Trzeciej Rzeszy, której podstawy myślowe kształtują się poprzez najwybitniejszych niemieckich myślicieli, znajdując najbardziej pełny i jaskrawy wyraz i Fichtego i w nitscheanizmie.

— Głęboko zakorzeniona — i to nie tylko u nas jest przecież teoria o dwoistości kultury niemieckiej, na którą składać się mają przeciwieństwa Weimaru i Poczdamu, przeciwieństwa filozofów, poetów i artystów w stosunku do polityków, wodzów i żołnierzy. Czy więc patrząc przez pryzmat filozofii, nie zobaczymy tylko jednego oblicza duszy niemieckiej i to właśnie tego, które nie ma nic z okropnościami wojny wspólnego?

— Pragnę wyraźnie i to zaraz na wstępie odpowiedzieć na te wątpliwości. Dokładniejsze badania przekonywują, iż **dusza niemiecka jest jednolita.** I jest właśnie taka, jak to najbardziej bezpośrednio i jaskrawo ujawniają czyny Fryderyka, Bismarcka i Hitlera.

NOWI BOGOWIE

— Jakie są zasadnicze znamiona tej myśli?

— Myśl ta rozwija się przeciw racjonalizmowi, przeciw empiryzmowi, przeciw religii chrześcijańskiej. Cechuje ją specyficzny, niemiecki idealizm, swoista interpretacja dobra i zła, prawdy i fałszu. O tym, jak silną była zawsze przeciwracjonalistyczna atmosfera w Niemczech, świadczyć może fakt, że nawet pisarze, którzy z racji swych przekonań, czy zawodu winni byli wyznawać racjonalizm, wyrzekali się go pod wpływem kultury niemieckiej, w której byli wychowani. Jako przykład niech służy Freud, którego koncepcje, uwydatniające coraz bardziej pozaracjonalną i demoniczną istotę natury ludzkiej, związane są licznymi węzłami pokrewieństwa z filozofią Schopenhauera i Nitschego. Ten trzeźwy pierwotnie i ostrożny lekarz empirysta dochodzi — niewątpliwie pod wpływem niemieckiej atmosfery filozoficznej — do swego systemu, w którym natura ludzka przedstawiona została jako splot wiecznej i irracjonalnej walki między popędami erotycznymi i popędami śmierci.

Walka z nacjonalizmem i empiryzmem nie oznaczała w Niemczech obrony stanowiska religijnego. W zakresie filozofii wywodzącej się z przeżyć religijnych Niemcy od wieków miały bardzo mało do powiedzenia. Myśl głównych filozofów niemieckich jest antyreligijna. O ile jednak na zachodzie krytyka religii miała charakter racjonalistycznego obalania przesądów w celu ofiarowania człowiekowi pełnej swobody myślenia i kierowania sobą, o tyle Niemcy starali się zawsze na miejsce Boga obalonego stawiać bogów nowych. Szukano jakiejś tradycji religijnej byleby tylko nie chrześcijańskiej. Ryszard Wagner doszedł do wiary w możliwość pełnego odrodzenia pogańskiej religii Germanów. Odtąd to prądy nacjonalistyczne pochwyciły hasło tworzenia metafizyki przeciw religii chrześcijańskiej.

FAUST — SCHOPENHAUER — NITSCHE

— Oderwanie się „kształtującego" idealizmu niemieckiego od wszelkiej prawdy obiektywnej musiało otworzyć możliwości dla niebywałego nadużywania filozofii?

— Stawała się ona coraz bardziej pełnym zarozumiałości i doktrynerstwa tworzeniem systemów obejmujących i wyjaśniających wszystko. Każdy z tych filozofów, zwłaszcza Schelling i Hegel sądzili, iż tworzą ostateczną i niewzruszoną wiedzę. Stąd droga do niebywałej tyranii intelektualnej, torującej zresztą drogę teorii „nadczłowieka" i wreszcie Wodza. Jeśli pod panowaniem podobnej tyranii umysłowej niemiecka trwała przez wiek z górą, świadczy to, iż rządy takie jaknajlepiej jej odpowiadały. Zająć dowolne stanowisko subiektywne, odgrodzić się od wszelkich sprawdzianów, które mogłyby wykazać jego błąd, przedstawić je innym jako prawdy obiektywne, nakazać im posłuch, w końcu samemu w to uwierzyć. Był to sposób myślenia szczególnie męczący dla narodu, który swą misję pojmował najchętniej jako rządzenie innymi i formowanie ich wedle własnego widzimisię. Ten imperialistyczny charakter idealizmu niemieckiego przejawia się również w przyznaniu pierwszeństwa czynowi przed mądrością. Faust nie może pogodzić się z tym że na początku było słowo i sądzi, że na początku był czyn. U filozofów hitlerowskich czyn nie służy celowi, tylko rodzi cel. U Schopenhauera cały obraz świata powstaje z woli, ze ślepej i zachłannej woli życia. U Nitschego staje się ona błogosławioną wolą mocy, ustanawiającą prawdy i wartości.

„CHCEMY DZIAŁAĆ"

Czyny mają prawo przebudować rzeczywistość w sposób zupełnie dowolny. Taką rzeczywistością przebudowaną przez czyny miała stać się w przyszłości das neue Europa.

— Czyny — choćby to miało być bratobójstwo — mordowanie całych narodów?

— Tak. Bo człowiek silny sięga w przeszłość i przyszłość formując jedną i drugą na podstawie własnej miary, będącej dlań bezwzględną prawdą, wobec której posłuch obowiązywać winien wszystkich innych ludzi, a w razie sprzeciwu ma być narzucony. Własne dążenia i cele narzuca się tu jako prawdy obiektywne, powszechnie obowiązujące. Jest to właściwość psychiczna znajdująca swój wyraz nie tylko w filozofii ale i w polityce niemieckiej, która od wieków wszystko to co czyni przedstawia jako pełnienie służby w stosunku do wartości ogólnie uznanych.

— Tak więc zakłamanie polityczne znajduje swoje podstawy w filozofii niemieckiej.

— W pryzmacie tej filozofii obalone zostało pojęcie prawdy i fałszu. Zastępuje je mit. Mit nie jest ani prawdą ani fałszem. Jest czymś w co ludzie wierzą, bo wierzyć muszą. Tylko słabi wierzą w prawdę, jako wyraz obiektywnego ładu rzeczywistości. Silni i wyzwoleni stwarzają prawdę i narzucają ją innym.

Dla filozofii narodowego socjalizmu pojęcie mitu stało się hasłem naczelnym, jak świadczy o tym głośna książka Rosenberga, oraz dziesiątki innych publikacyj na ten temat.

Filozofia niemiecka, podobnie jak porzuciła pojęcie prawdy i fałszu wielbiąc mity, tak samo wedle symbolicznego określenia Nitschego wykraczała poza dobro i zło, posługując się pojęciem mocy. Współczesny filozof niemiecki H. Herringel, pisze: „Nie wierzymy w to, co absolutne, nie cenimy tego, co wieczne, niezmienne... Nasze myślenie jest uwarunkowane sytuacją, zwłaszcza zaś polityczną. Wie ona iż ład w świecie stwarzany i utrzymywany być może tylko przez przemoc. Chcemy działać — nie chcemy żadnych ogólnych wskazań i norm".

Jak to działanie bez „żadnych ogólnych wskazań i norm" wygląda w praktyce — o tym mieliśmy możność się przekonać.

KANT I FICHTE

W tym „działaniu" hitlerowskim zaprzepaszczono myśl jednego z większych filozofów niemieckich Kanta mówiącego, iż w „swoim działaniu powinniśmy dążyć do własnej doskonałości i do cudzej szczęśliwości".

Bo i ta zasada, właśnie dlatego, że nie zawierała elementów miłości i pokory — dwóch zasadniczych składników życia moralnego, których brak w myśli filozoficznej niemieckiej — jest niezmiernie charakterystyczny — zinterpretowana została przez późniejszych myślicieli niemieckich w sposób elitarny i imperialistyczny. Troska o własną doskonałość stała się tytułem usprawiedliwiającym prymat wyższości w stosunku do innych ludzi, troska zaś o szczęśliwość przerodziła się w przeświadczenie, iż obowiązkiem moim jest uszczęśliwić innych wedle mych własnych pojęć o szczęściu maluczkich. Znajdujemy się tu u źródeł typowych niemieckich przekonań o wyjątkowej doskonałości moralnej i heroicznej rasy niemieckiej, której obowiązkiem jest szerzyć kulturę i szczęście wśród i[...] nych, niższych ras na całym świecie [...] to nawet wbrew ich woli. Tę samą z[...] sadę zastosował narodowy socjalizm [...] polityce wewnętrznej, której elitary[...] wybranych miał być narzędziem d[...] starczania szczęścia masom w post[...] jedynie właściwej, choćby nawet n[...] uznawanej powszechnie.

Wszystkie te konsekwencje ze szcz[...] gólną wyrazistością ujawniają się [...] pojmowaniu polityki. Wielki filoz[...] niemieckiego idealizmu Fichte w ksią[...] ce wydanej w roku 1800 nakreślił wz[...] państwa totalitarnego. Mówi on, [...] państwo powinno być zamkniętym [...] samowystarczalnym organizmem g[...] spodarczym. Osiągnąć ten ideał ra[...] w następujący sposób. Należy nieocz[...] kiwanie odebrać od obywateli złot[...] wprowadzić nowy pieniądz uznawa[...] tylko na rynku wewnętrznym. Dzi[...] tej operacji nie tylko przetnie [...] wszelkie kontakty własnych obywat[...] z zagranicą, ale równocześnie państ[...] „będzie się mogło uzbroić tak dobr[...] iż żaden opór nie będzie mu mógł b[...] stawiony" przez sąsiadów. Będzie [...] więc mogło swoje zamiary przyłączen[...] sąsiednich terenów urzeczywistnić „b[...] rozlewu krwi, tak iż operacje wojsk[...] we będą raczej wyprawą okupacyj[...] niż wojną". Czasami wystarczy ty[...] zagrozić wojną, której wszyscy [...] gorzej uzbrojeni, będą się bali. G[...] wreszcie państwo osiągnie granice, [...] których mu zależało, trzeba będzie [...] dać manifest tłumaczący ludności zi[...] zagarniętych, iż stało się to dla jej [...] bra. Wówczas też można będzie rac[...] nalnie zorganizować gospodarkę i p[...] cę, poprzydzielać określonym grup[...] ludzkim określone zajęcia, a nawet [...] okaże się to celowe — „część ludzko[...] nowych prowincji ściągnąć przyjaz[...] mi sposobami (?) do kraju rdzenne[...] na jej zaś miejsce przesiedlić tych, [...] mieszkali w dawnych granicach.

Mamy więc autarkię i wojnę n[...] wów, „pokojową okupację" Czechos[...] wacji i przyjacielskie odezwy do l[...] ności G. G. i „robotniczy werbunek [...] Rzeszy i przesiedlenia... Jeżeli Hit[...] nie posługiwał się w pewnym okre[...] książką Fichtego, jako podręcznik[...] to trzeba dojść do przekonania, że j[...] twór miał we krwi.

PRZYMUS I SIŁA

— Filozofia niemiecka miała jednak [...] dobrą stronę, że demaskowała duszę [...] miecką wobec świata.

— Nie zawsze i niezupełnie. Filozo[...] niemiecka posiada szczególny dar [...] styfikacji. Używa ona słów i haseł [...] ciągających swą szlachetnością, [...] treść ich określa w sposób zupeł[...] swoisty. Słowa tam mówią zupeł[...] co innego, niż sądzimy. Oto przykła[...] Filozofia ta posługuje się często s[...] wem: **wolność człowieka.** Ale ta w[...] **ność** — jak to zdefiniował Hegel — [...] **lega na tym, aby zgodzić się na to [...] koniecznie.** Podobna mistyfikacja [...] związku z pojęciem osobowości. Sło[...] to nęciło nas swoim urokiem, mimo [...] kichś dziwnych skojarzeń, które filo[...] fia niemiecka z nim mieszała. Dopi[...] w Kriecku znajdujemy jasne okre[...] nie tego pojęcia: **osobowością jest [...] kto jest posłuszny woli rządzącego**

Albo pojęcie prawa. Przywykliś[...] je kojarzyć z pojęciem sprawiedli[...] ści, ale **myśl niemiecka wiąże praw[...] pojęciem siły i przymusu.**

— Mamy więc do czynienia po str[...] niemieckiej z jakąś odrębną, wobec cy[...] lizacji europejskiej pojęciowością?

— Tak, i dlatego czyny narodu n[...] mieckiego bywają dla ludzi wycho[...] nych w tej cywilizacji niepojęte.



WILANÓW ZMARTWYCHWSTAŁY



Skrzydło pałacu (fot. E. Brzozowski)

Czytamy w starym przewodniku po Warszawie i okolicach: „Wilanów. Przeliczna wieś, ongi mieszkanie królewskie, odległe od miasta o godzinę drogi. Na przyozdobienie jej złożyły się: natura i sztuka. Jest ona dla Warszawy tym prawie, czym Wersal dla Paryża. Świetność jej datuje się od czasów Sobieskiego..." Stary przewodnik kończy opis Wilanowa uwagą, iż na dokładne wyszczególnienie jego skarbów brak mu miejsca, zresztą to zbyteczne, jest to bowiem miejsce stałych pielgrzymek warszawian, którzy zdołali poznać Wilanów prawie na pamięć.

Istotnie Wilanów — dawna siedziba królewska, potem arystokratyczna, uległ faktycznej demokratyzacji już na wiele lat dziesiątków przed pierwszą wojną światową, udostępniając swoje wytworne wnętrza tłumom ludności, odbywającej tradycyjne wycieczki. Warszawianie oddawna uznali Wilanów za swoją własność, za cząstkę Warszawy, byli dumni z siedziby królewskiej, odwiedzanej codziennie przez lud stolicy. Kto z nas w dzieciństwie miał niańkę warszawiankę, w najwcześniejszych wspomnieniach zachował opowieść o cudownym pałacu króla, co to Turków pobił pod Wiedniem, pałacu, gdzie dotychczas oglądać można pantofelki jego urozej żony, królowej Marysieńki, oraz o topolach, sadzonych własnoręcznie przez króla — wojownika, zamiłowanego w sielskim życiu i wiejskich rozrywkach. Może właśnie w tym przywiązaniu do Wilanowa jest również coś z tej przedziwnej popularności króla, który, podobno wbrew sądowi historii, zyskał sobie tyle ciepła, sympatii i barwy w popularnej legendzie, co nie ogląda się na racje historyczne i po swojemu osądza bohaterów.

Wieś tutejsza była niegdyś własnością książąt mazowieckich. W roku 1377 od księcia Janusza na Wiźnie i Zakroczymiu otrzymał ją w darze za zasługi wojenne dzielny Mazur z Strzelczykowa, protoplasta rodziny Milanowskich, od których wieś dostała swoją nazwę — Milanów.

Milanów znajdował się przez długie wieki w ręku rodziny Milanowskich, aż wreszcie w wieku XVII nabył ją król Jan III wraz z Powsinem i Zawadami. Król upodobał sobie miejscowość, malowniczo położona nad łachą wiślaną, i tu w roku 1680 wzniósł pałac, założył swoją siedzibę, przyozdabiając ją bogato wciąż nowymi dziełami sztuki, z wielkim kosztem zwożonymi ze świata, głównie z Włoch, i zdobytymi na wyprawach wojennych. Tu spędzał król chwile, wolne od wojny i spraw państwowych, tu dokończył żywota w r. 1696. Sobieski zmienił nazwę Milanowa na Wilanów (villa nova) zaopatrując fronton pałacu napisem: „Quod vetus urbs coluit, nunc nova villa tenet" (co czcił stary gród, nowa wieś teraz posiada). Pałac wybudowany przy użyciu jeńców tureckich, wziętych pod Chocimem — bez dzisiejszych skrzydeł — wybudowany był w stylu renesansu włoskiego, przechodzącego w barok podług planów budowniczego włoskiego Belottiego. Dokoła założono piękny park francuski. Po śmierci króla Wilanów znajdował się kolejno we władaniu Sieniawskich, Czartoryskich, Lubomirskich, Potockich, wreszcie Branickich. Następni właściciele nie uronili nic z nagromadzonych przez króla skarbów sztuki, dodając do nich nowe.

Sławny był wilanowski zbiór obrazów. Znajdowały się tu dzieła Leonarda da Vinci, Tycjana, Rembradta, Rubensa, Van Dycka, Durera, Velasqueza Don. Diego Corregio, Pawła Veronese, Tintoretto, Guido Reni, Carlo Dolce i wielu innych.

Tak to Wilanów zbudowany i obdarzony bogactwami przez króla Jana pielęgnowany przez następnych właścicieli, chroniony przez wierną przywiązaną doń służbę, kochany przez ludność, przetrwał wieki. Aż pewnego dnia...

„Uderzające jest — czytamy w artykule hitlerowskiego publicysty zwiedzającego „Generalną Gubernię" — „kraj dziki, który dopiero okupacja germańska pozyskała dla cywilizacji — jak mało Polacy uczynili dla piękna tego kraju. Posiada on smutny charakter ziemi koczowników, którzy o nią nie dbają. Zadziwiająco mała jest ilość zabytków, dzieł sztuki".

W jaki sposób kulturtregerzy wykonywali swoją misję w Wilanowie, mogliśmy przekonać się ze skutków ich działalności. Wszystko tu rabowano i wywieziono. Czego nie udało się wywieźć — zniszczono. Uderzającym przykładem poczynań kulturalnych Niemców są bezcenne gobeliny, pocięte przez rezydujących tu nowych władców, na nocne dywaniki i onuce. Sam pałac ocalał tylko dzięki temu, że kulturtregerzy postanowili urządzić tu luksusowe kasyno gry... Niektóre tylko, spośród pamiątek ocalały na miejscu, ukryte przez służbę. Tym szarym pracownikom, opiekunom Wilanowa, którzy nie opuścili go i w miarę swoich skromnych środków — chronili w najgorszych czasach, należy się pamięć. Dziś w dalszym ciągu, kiedy tamto minęło i nastąpiło odrodzenie Wilanowa, oni są znowu na swoich zaszczytnych posterunkach. Dawny kamerdyner, p. Baczyński z Antonin — jako przewodnik zwiedzających, oprowadza po pałacu wycieczki, pokazując im z pietyzmem odzyskane pamiątki Wilanowa. Dawny gajowy p. Wernic przy bramie. Stangret p. Grzesiak — przy koniach. Ludzie wierni i prości, którzy całe swoje życie poświęcili Wilanowowi i czuwali nad nim w ciągu ponurych dni zagłady.



Fragment parku (fot. E. Brzozowski)

Bo Wilanów wraca do dawnej świetności. Jest dzisiaj własnością Muzeum Narodowego i przedmiotem specjalnej opieki ze strony Prezydium Rady Ministrów. Znaczną część zrabowanych i wywiezionych do Niemiec przedmiotów i dzieł sztuki odzyskano, przywieziono z powrotem. Inne wydobyto z miejsc poniewierki — strychów, piwnic i szop, poddano pielęgnacji i kuracji. Tradycyjne wycieczki warszawian do Wilanowa znowu się odbywają. Poza tym częste są tutaj wizyty gości zagranicznych, którzy zatrzymują się nawet niekiedy na kilka dni w pokojach gościnnych, mieszczących się w skrzydłach pałacu. Pieczę nad zabytkami wilanowskimi sprawuje długoletni kustosz Muzeum Wojsk. Stanisław Gepner. Honory domu czyni zarządzająca p. Szymańska, roztaczając atmosferę polskiej gościnności.

Kiedy chodzimy po pokojach wilanowskich, po królewskich sypialniach, gabinetach i antyszambrach, kiedy patrzymy na cudne plafony, obrazy, gobeliny, na przywrócone do dawnej świetności meble i sprzęty — odnosimy wrażenie, że nic się tutaj nie zmieniło. Istotnie, wiele zdołano odzyskać. Trzeba jednak sięgnąć pamięcią wstecz, trzeba przejrzeć dawne inwentarze, żeby przekonać się, że brakuje jeszcze wiele. Wciąż odbywa się żmudna praca poszukiwania, konserwacji i ustalania, co i jak było, rekonstrukcji stanu dawnego. Zwłaszcza ogród oczekuje duża praca rekonstrukcyjna. Począwszy od XIX wieku, ogród ten został przerobiony na angielski. Obecnie przywraca mu się styl francuski według stanu z XVIII wieku.

Wychodzimy z pałacu, oglądamy starą studzienkę na dziedzińcu z której, od czasów króla Jana tryska woda znanej dobroci. Zarządca Wilanowa opatrzył studzienkę w kubki, żeby uczestnicy wycieczki mogli odświeżać się wodą źródlaną i przekonać się o jej wyjątkowych zaletach. Niestety, kubki bardzo szybko „wyszabrowano". Jeszcze jeden dowód, jak bardzo potrzeba nam kultywować wszystko, co ma smak kultury.

Chodzimy po parku wilanowskim, opustoszałym smutkiem jesieni. Stoi tu wodowskaz z liniami, oznaczającymi wysokość wód w czasie wylewów. Największy, jak widać, wydarzył się w r. 1813, potym — rok 1846, 1934... Tu, opodal, przepływa woda łachy wiślanej. Tu, zapewne Sobieski wołał do chowanej wydry pana Chryzostoma Paska: „Robak, hul do wody". I potężny pień zwalonej topoli. Ostatnia z tych, które podobno król Jan sadził własną ręką. Niemcy zwalili ją, specjalnie założonym ładunkiem dynamitu, dowiedziawszy się, że to pamiątka po królu polskim, który obronił Wiedeń.

M. S.



Galerja obrazów.



Topola, sadzona ręką króla Sobieskiego, wysadzona dynamitem przez Niemców



Widok pałacu od strony parku (fot. E. Brzozowski)

ROBOTNICY POLSCY W ANGLII

ŚLEPY ZAUŁEK EMIGRACJI

Życie gospodarcze Wielkiej Brytanii w chwili obecnej stoi pod znakiem dwóch na pozór sprzecznych ze sobą faktów; demobilizacji i braku rąk do pracy. Społeczeństwo, w szczególności związki zawodowe, obawiają się bezrobocia i pogorszenia sytuacji robotnika na rynku pracy. Natomiast rząd — jak oświadczył min. Cripps —widzi niebezpieczeństwo w niedostatecznej produkcji. Mniejby interesowały nas te kłopoty Brytyjczyków, gdyby nie chodziło jednocześnie o los sporej liczby naszych rodaków.

POLACY W GÓRNICTWIE

Powstał bowiem problem zatrudnienia Polaków w kopalniach węgla. Ocenia się że w wojsku polskim jest sporo wykwalifikowanych górników, tak, że w krótkim czasie możnaby zatrudnić ich nawet do 10.000; na razie pracuje znikoma liczba, zaledwie 200. Decyzja w tej sprawie zależy od porozumienia między rządem brytyjskim a narodowym związkiem górników. Opór związku był bardzo silny. Ostatnio wydaje się, że dopuści pewną liczbę Polaków do pracy w rozproszeniu, a nie w zwartych grupach, oraz do mniej wynagradzanej pracy naziemnej. Na zatrudnieniu Polaków zależy Ministerstwu Opału i Energetyki, gdyż w ten sposób możnaby podnieść produkcję państwa tak bardzo potrzebną. Związek obawia się, że zatrudnienie Polaków utrudni walkę o podwyżkę płac i inne zdobycze socjalne.

POLACY W ROLNICTWIE

Rolnictwo jest tą gałęzią gospodarki brytyjskiej, która będzie najbardziej poszkodowana przez zwalnianie jeńców niemieckich, zatrudnionych obecnie w liczbie ponad 100.000. Nawet zwalnianie stopniowe — przewidywane na okres 18 miesięcy — może wywołać poważny kryzys w produkcji rolnej.

Robotnicy rolni sprzeciwiają się angażowaniu Polaków, twierdząc, że zatrudnienie cudzoziemców nie tylko nie usunie braku rąk do pracy, ale utrudni techniczną reorganizację upraw oraz reformę systemu płac i świadczeń.

PRZYCZYNY NIECHĘCI

Jest wiele istotnych przyczyn tego oporu ze strony brytyjskiego świata pracy. Jedna — to tradycyjna niechęć do cudzoziemców w ogóle, których dotychczas w Wielkiej Brytanii było bardzo mało. Do tego dołącza się spora doza niepokoju o przyszłe kłopoty z elementem, który ze względów politycznych pozostaje na emigracji. Powtóre, brak mieszkań i towarów w sklepach jest dalszym czynnikiem psychologiczno - gospodarczym niechęci do przyjmowania na stałe jakichkolwiek obcych przybyszów, co mogłoby utrudnić warunki na rynku pracy, lub nawet wywołać kryzys bezrobocia i obniżenie stopy życiowej. Sfery rządowe chcą wprawdzie zatrudnić Polaków, ale oferują im pracę najcięższą i najmniej płatną w górnictwie i rolnictwie.

Oto przykłady, jak ciężki jest los emigracji, w szczególności tzw. „nowej emigracji" z czasów wojny. Rodacy nasi, którzy zdecydowali się zostać za granicą, chcieliby pracować, ale brytyjscy koledzy nie chcą ich. Jest na to jedna tylko rada, tak jasna, że wprost wstyd podawać ją: powrót do kraju.

Dr. S. W. Berezowski

BITWA o Monte Cassino

W dzisiejszym numerze podajemy jeszcze jeden fragment z książki p. t. „Bitwa o Monte Cassino“ znanego pisarza polskiego Melchiora Wańkowicza, wydanej w Rzymie w 1946 r.

Niosą rannego chłopaka w dół, mijają drugą kompanię. Sokołowski (który wygląda na siedemnastolatka, ale „buja“, że ma dwadzieścia dwa lata), ocieka krwią, ale cóż to wszystko wobec faktu, że niosą go jako pierwszego rannego żołnierza, że sam pan major pochyla się nad jego noszami.

I chłopiec usiłuje mówić najbardziej grubym, najbardziej żołdackim głosem:

— Panie majorze, proszę dać za mnie tym s... m.

Tamci tymczasem ruszyli z podstawy wyjściowej jednym skokiem. Na wysokość czołowego plutonu ppor. Piotrowskiego na lewo doszedł 2. pluton pchor. Januszkiewicza. Oba plutony idą tak szybko, że ich nie zdążył złapać ogień niemieckiej artylerii, że właśnie idący z tyłu w odwodzie pluton ppor. Boya ma większe straty. Ppor. Boy został ciężko ranny 13 maja, plutonem więc dowodzi plutonowy Szews. Rażony ciężko w bok i rękę, leży... tuż przy minie niemieckiej; mijający kolega zaczepia drut przeprowadzony od miny — wybuch jej odwala mu głowę.

Plutony Piotrowskiego i Januszkiewicza przeskoczyły 70 metrową przestrzeń do bunkrów niemieckich w kilkanaście sekund, doganiają ogień własnej artylerii, sześciu czerwonymi rakietami proszą o wydłużenie ognia...



Patrol trzeciej kompanji wyrusza na zwiady.

WALCZĄCE DZIECI

...Pchor. Zagrzejewski, z 2. kompanii, który właśnie niedawno otrzymał maturę, widząc, że pod gradem granatów grupa Niemców wpadła do pustego schronu, złapał od rannego celowniczego piat, z którym nie umiał się obchodzić, wyrżnął — śpiesząc się okrutnie — z kolana: rzuciło nim tak dokumentnie, że w najbliższej chwili chłopak był sobie, pocisk sobie, piat sobie, a nieprzyjaciel jeszcze gdzie indziej. Klnąc okrutnie (najbardziej fasonowo klną maturzyści i Pestki, jako że odstawiają weteranów) ,złapał ponownie krnąbrny piat, strzelił poprawnie, zdążył — z Niemców w przebitym bunkrze zrobiła się miazga, z innych poczęli zmykać. Wymachują przy tym flagą z Czerwonym Krzyżem. Stropili się na moment żołnierze — patrzą a tu szwaby przy fladze ze szmajserami zapychają. I coś strzela.

— Panie kapitanie — wołają żołnierze do kpt. Kowalewskiego — ten mami, a tam ten skurwiel strzela.

Otworzyli ogień — podstępny Niemiec się potoczył. Pchor. Gasiński nie wytrzymał. Wyskoczył z bunkra z tomiganem. — Pędzić ich! — woła półdziecinnym głosem (Tadzio Gasiński przed kilku miesiącami otrzymał maturę w Barbarze). Wskoczył na sąsiedni bunkier, który mu przesłaniał uciekających Niemców. Dostał serię. I, cały roznamiętniony, grający najszczytniejszą rolę wobec kompanii w najdramatyczniejszym teatrze świata, krzyknął: „Gasiński nie żyje!“ i stoczył się martwy z bunkra.

Widziałem ich w Barbarze — ten najstarszy rocznik, tym różny od młodszych pętaków, że mieli karabiny. W nakredowanych białych pasach, z granatowo-żółtymi dystynkcjami, chłopcy prości jak świeca, przypominali podchorążych 1831 r.

Idąc na pozycje, pisali: „Mamusiu — jeżeli nie wrócę, proszę się nie martwić“ i obracali ołówek w ręku i nie wiedzieli jak wytłumaczyć tej matce; wielkich słów o Polsce nie chciało im się pisać, a jak tu małymi słowami pocieszyć? Więc stawiali kropkę i podpis z zakrętasem.

Na pozycji w ogniu, meldowali się, prężąc się przepisowo, łykając groźne krzyki: „Kładź się, szczeniaku“.

Gasiński nie żyje, Jurek Jasiński nie żyje, Madejski nie żyje, nie żyje Okulicki i Anatolek Żak, nie żyje Jerzyk Chmielewski, i Genio Barglewicz, i Kłopotowski, i Kujbieda, i Mickowski, i Miarkowski, nie żyją dziesiątki maturzystów, których dohodowaliśmy się na Bliskim Wschodzie.

Uczyli się pod namiotami, przyjeżdżali na egzaminy wprost z pozycji. Żołnierskie otoczenie darzyło „szczeniaków“ szorstką i pobłażliwą miłością. Półpiśmienni gospodarze z Kresów podejmowali za młokosów służbę. Tak zwierzę, kiedy spłynie krwią instynktownie je zioła, które je wzmocnią.

Inaczej czepiała się geografia ich, którzy widzieli Zorzę Polarną i wielbłądy, inaczej nauki ścisłe — ich, saperów, artylerzystów, łącznikowców, repistów, inaczej historia i literatura — ich żołnierzy bez ziemi, śledzących rozszerzonymi oczami codzienny komunikat, comiesięczną macherkę, cokwartalny zawód i każdej godziny nasłuchujących — co w Kraju...

Ich poprzednicy mieli drogę krótszą — od płonącego browaru na Solcu do Belwederu. Te nasze dzieci szkorbutowymi nogami maszerowały do Kałymy, odhodowaliśmy ich w Iranie, poczęliśmy uczyć w Iraku, kontynuowaliśmy w Palestynie i w Egipcie, grzebaliśmy we Włoszech.

Dzieci nasze! Młodości — gorzka jak piołun na każdym calu świata.

Gdy przeciwuderzenie niemieckie kosz tem naszych sześciu zabitych i dwu rannych granatami odparto — w stronę naszych stanowisk pędzi jak oszalały młodzik w niemieckim mundurze. Żołnierze chwytają za broń.

— Dyć nie strzelajta — jo Polok. Jo Polok.

— Ze Śląska Zaolziańskiego — woła wpadłszy wreszcie między swoich, nie mogąc złapać tchu.

I podczas, kiedy trup Tadzia Gasińskiego leży jeszcze pod bunkrem, Jasio Gazur z Jabłonkowa, nie znając jeszcze naszego sprzętu, ujmuje nosze i nosi pod ogniem rannych.

Jasio Gazur z Jabłonkowa przybyły z armii niemieckiej na uzupełnienie Tadzia Gasińskiego...



Amunicję nosi kto może.

Komandosi i ułani.

I zaraz potem — odprawa u mjr. Smrokowskiego. W jarze C. Zaczną dziś — wszak 16. baon uderza — oni będą musieli ściągnąć na siebie ognie, aby odciążyć tamte główne uderzenie.

Przyszedł szwadron składany 15. Pułku Ułanów.

Piętnasty Pułk Ułanów Poznańskich, to chłopcy wybierani najmłodsi wiekiem w Korpusie.

A ten szwadron, który zestawili dla mjr. Smrokowskiego, to wybierani z wybieranych.

Szwadrony 2. i 4. dały swoje plutony szturmowe.

Poczet bojowy d-cy szwadronu szturmowego dały szwadrony pierwszy i trzeci.

Ten szwadron składany prowadzi zastępca dowódcy 1. szwadronu, oficer służby stałej, por. Cygielski. Jego zastępcą jest por. Duda.

Patrzą na siebie oba oddziały.

Ułany — chłopaki jak szóstka — ciągną się jak na defiladzie.

Komandosi — starsi nie tylko doświadczeniem, ale i wiekiem, pośmiewują się pod wąsem, ale ostatecznie decydują, że to wojsko, które im dali, to „pistolety“.

„Pistolety“ patrzą z nabożeństwem młodymi gębusiami na tych zielonych bereciarzy. Chodzi to jakoś tak szeroko rozkracznie, po marynarsku, każdy sobie. Oficerowie karki mają jak byki. Ręce zwisają jak dźwigi.

Czekają teraz na mjr. Smrokowskiego.

— Stary lubi sam zawsze przedtem połazić — informują ułanów.

„Stary“ połaził — nie podobał mu się ogień na pierwszej gardzieli. Poprowadził ich więc na podstawę wyjściową jarem od Cavendishu. Ruszyli za ciemna — była godzina 22.

Tarasy tam się wznoszą. Trzymetrowe. Ułani — nie ćwiczeni we wspinaczce. W ciemności — wymacuje się przejścia, ale co lżejsze przejście, to je już oblepili moździerzowce, którzy tu roztasowali się ze swoją gospodarką ogniową. Nie ma lin dla wciągnięcia się z tarasu na taras. Idą partie po brzuchach śpiących moździerzowców.

Po szczytach błyskają serie świetlne Niemców i zaraz potem idą nawały ich moździerzy z Widma.

Z nagła — uderzyła w nich seria szmajsera. Dwóch ułanów padło. Rzuciły się w bok patrole szukać tej zasadzki — wracają z niczym. Wspinanie się trwa.

O świcie wyczerpana niezwykłym wysił-kiem fizycznym grupa mjra Smrokowskiego zalega, wśród głazów zakrzaczonych. Od czasu do czasu sypią się na nabierają-cych oddech przed czekającym, jak si potem okazało, krwawym natarciem n S. Angelo, gałązki i liście zestrzeliwan szmajserem przez wzbudzającego podziw niezwykłą odwagą niemieckiego dywersan-ta, który uporczywie towarzyszył w po-dejściu, starając się trzymać grupę w bez ruchu. Próżny wysiłek. Mjr. Smrokowsk podparty na ręce drzemie, uśmiechają się dobrotliwie przez sen — pociski moź dzierza i szmajsera nie przeszkadzają. Go niec majora siedząc po arabsku tyłem d npla uśmiecha się. „Dlaczego się śmieje cie? — pyta ppor. Wachułka. „Gdyby „oni“ wiedzieli, że ja tu jestem, to by m dali“.

— Berek — słychać głos majora, — po patrz czy siedemnasty poszedł do na tarcia.

— Okay, panie majorze już się robi — powstał na całą wysokość, i gwiżdżąc po szedł.

— Chowaj się, bo cię ustrzelą — woł major.



Podchor. Jedwab, dowódca plutonu „Komandosów“

— U — wa, jednego będzie mniej, — odpowiada beztrosko śmiejąc się Berek.

I kiedy osiągnęli szczyt 706 — ten szczyt na którym ogień zmiótł kompanię 2/13 kpt. Czechowskiego w pierwszym natar ciu — przyszła i teraz krwiożercza nie-miecka nawała na dobrze sobie zna ne miejsce. Ppor. Bachleda, który nieraz chodził jako kurier do Kraju, idą cy jeden z pierwszych bez hełmu — pada trafiony odłamkiem w gło wę (zmarł po trzech dniach). Ranny strze-



Żołnierze uczyli się pod namiotami. Na egza min przyjeżdżali wprost z pozycji.

lec wyborowy komandosów, Sochaczew ski — uciekł z niewoli niemieckiej, by t polec. Z ułanów zabity uł. Szczurek — znany piłkarz; ranni pchor. Kabacińsk wchm. Teperek, plut. Dąbrowski, st. u pchor. Jaczniakowski, st. uł. Obergas ułani Garnowski i Wróblewski.

Kapitan komandosów Zalewski, rann w rękę, kazał się obandażować i poszed dalej.

Mjr. Smrokowski cofa grupę ze wzgó rza, uporządkowuje. Ułani zajmują sta nowiska na lewo, komandosi na prawo.

Por. Cygielski widzi, że biją po jeg placówce, którą dowodzi por. Duda.

— Ludwik, co?... — woła po kolejne serii moździerzowej.

— W porządku — krzyczy Duda. Gło jego dźwięczy świeżo i donośnie. Już zbu dził się ranek i odsłonił wspaniały widok czołgi nasze na Widmie rozbijają niemiec kie bunkry, bliżej — przebiegają grupk naszych żołnierzy ku nieprzyjacielowi.

Rzeźkość w powietrzu, rzeźkość w tyc młodych sercach.

Ale nie wybiegajmy w przód, bo ju weszliśmy w ranek 17 maja, a jeszcze n Widmie działy się sprawy nocne.

Melchior Wańkowicz

Masai

(dalszy ciąg)

Tak długo trzymajcie się tej drogi—aż zobaczycie, również po lewej stronie, wielki wygasły wulkan, że to ten—poznacie od razu (w takich wypadkach nazwa właściwie nic nie daje, bo i kogo o nią zapytać) po rozlazłym stożku góry. Krater jest bardzo duży, w obwodzie ma chyba ze trzy kilometry. Zrozumieliście? Otóż nie dojeżdżając parę mil do tego wulkanu — pilnujcie lewego zbocza głównej drogi, gdzieś w tym miejscu odchodzi od niej pod prostym kątem boczna droga — ścieżka. Zdatna do przejechania silnym wozem. Trzymajcie się ciągle tej drogi. Prowadzi wciąż prosto przez stepy. Potem po prawej stronie będziecie mieli znów parę stożków wygasłych wulkanów. Znacznie mniejszych od pierwszego. Potem znów wyjdziecie na piaskowzgórze. Przejedziecie przez potok. Pamiętajcie, że to jest jedyna woda w czasie tego „safari"! Dalej droga będzie lepsza, nie zgubcie tylko jej śladu. Jak dobrze pójdzie w ciągu jednego dnia dotrzecie do domku „D. C.".

Zadałem jeszcze dość rozsądne pytanie: ile mil będzie tej „bocznej drogi"? — około 100, ale przecież... nie o ilość mil chodzi, a o jakość drogi!

W pobliżu „rozlazłego stożka wulkanu" znaleźliśmy się wcześnie, upał dnia zaczynał się dopiero potęgować. Znalezienie początku „bocznej" drogi też nie nastręczyło trudności.

Wyschnięta, żółta trawa na prawo, na lewo, aż po horyzont, aż po siniejące w dali zbocza ogromnej doliny. Wśród tych traw wijąca się koleina drogi. I... kurz. Czerwony miałki pył podnoszący się gęstą chmurą, zalepiający szyby samochodu, przenikający wewnątrz przez szczelnie zamknięte okna, kłębiący się w środku samochodu, włażący w gardło, nos, uszy!...

Od czasu do czasu, gdy niesposób już było wytrzymać i płuca natarczywie żądały łyku... rzadszego powietrza, skręciliśmy na postój w trawie, by przeczekawszy parę minut w zamkniętym wozie — wyleźć i odetchnąć.

W takich przerwach łatwo było zauważyć, że na pozór wymarły i wysuszony step bynajmniej nie jest pustynią. Pasły się na nim całe stada antylop. Naliczyłem coś ponad dziesięć rozmaitych gatunków, malutkie — centkowane, i śliczne zgrabne antylopy „Thomsony", i takie — wielkości osła albo i dobrego muła. Byłem i jestem zapalonym myśliwym, ale polowanie w takim ogrodzie zoologicznym? bez dania zwierzynie najmniejszej nawet szansy ratunku? I po co? Jedzenia mieliśmy pod dostatkiem, a rogi? By pochwalić się potem, że to, panie tego — w Afryce upolowane?! Powiesić na pamiątkę u siebie w domu?... Trzeba by wprzód ten „dom" posiadać...

Biegały również po stepie rodzinki strusiów. Ile razy obserwowałem szalony pęd takiego zmiatającego w bok ptaka — zawsze przychodziło mi do głowy porównanie z... przeciążonym samolotem na starcie: nabiera rozpędu, pędzi szybciej i szybciej, już! już! zdawałoby się poderwie się do lotu i... nic! Za ciężki, za mała nośność zwyrodniałych skrzydeł, resztek tego co kiedyś było skrzydłami... Nie zna rozkoszy lotu ten, wysiadujący swoje ogromne jaja na ziemi, ptak—zwierzę.

Wreszcie po ładnych paru godzinach duszenia się w pyle, wyrosły przed nami zapowiadane pagórki, małe wygasłe wulkany. Grunt stał się twardszy, przestaliśmy pływać w kurzu.

Z szacunkiem w głosie, wskazując na jeden z pobliskich pagórków, czarny kierowca oznajmił:

— Masai!...

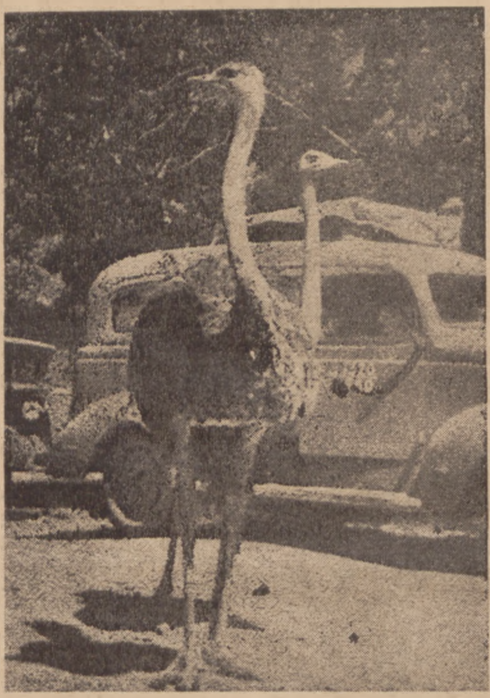
Przez szkła silnej lornetki było widać doskonale. Pierwszy Masai zobaczony przez nas, stał w pełnym słońcu, wysoki, wyprostowany, oparty niedbale o długą włócznię. Stał... na jednej nodze. Druga — podniesiona wysoko, oparta była piętą o wewnętrzną stronę uda pierwszej. W tej dziwnej pozycji trwał nieruchomy, jakby z brązu odlany.

Na sąsiednich wzniesieniach zauważyliśmy podobne postacie i... wszyscy oni — stali na jednej nodze!

Byli to Masai — pasterze pilnujący pasących się w dole stad. Pilnowali i strzegli przed drapieżnymi zwierzętami, których przecież nie brak w tej okolicy.

Dopiero pod wieczór dotarliśmy do „Naroku", miejsca zamieszkania „D. C." dystryktu Masai.

Narok to tylko parę, więcej niż prymitywnych budek — sklepów (naturalnie



Strzelanie do zwierzyny w takich sytuacjach dyskwalifikowałoby myśliwego

hinduskich) i nic więcej. Dom „D. C.", jego biuro i szpital (!!!) znajdują się w odległości kilometra, w cieniu rozłożystych drzew, otoczone świeżą zielenią doskonale utrzymanych... trawników. Naokoło urzędu „D. C." na tych trawnikach, rozłożyły się malownicze grupy czekających na coś Masai. Jedyne ich okrycie — to były luzem narzucone skóry; pod takimi narzutkami, za pasem zapiętym wprost na gołym ciele — tkwiły szerokie, w czerwonych skórzanych pochwach schowane miecze. Obok każdej grupki stały wetknięte w trawę długie włócznie. Wyglądało jakby lada moment wyruszyć mieli na wyprawę wojenną lub polowanie! A to był po prostu ich „strój" codzienny...

W urzędzie „D. C." czarny clerk zakomunikował nam przykrą nowinę: „D. C." nie ma. „D. C." właśnie wyruszył na „safari". Kiedy wróci? Nie wie, może za tydzień, może za dwa, a może i dłużej. Dom naturalnie zamknięty, ale może zechcemy zwrócić się do doktora w szpitalu? On chyba będzie wiedział coś o dacie powrotu „D. C.".

W obliczu tych zamkniętych drzwi — znaleźliśmy się w sytuacji bardzo przykrej: bez ekwipunku obozowego, nie będziemy mogli tu się zatrzymać, bez znajomości języka Masai, i że tak powiem — miejscowych zwyczajów — nie będziemy mogli również zapoznać się bliżej z życiem tych szczepów. Idziemy więc szukać ratunku u doktora.

Doktora zastajemy jeszcze przy pracy w szpitalu. Zobaczywszy tego wesołego, małego chłopca — nie można było nie poczuć od razu do niego sympatii. Ma lat trzydzieści — trzydzieści dwa najwyżej. Białe szorty, białe tenisowe pantofle, biała, szeroko otwarta na piersiach koszulka, jasne jak len włosy i niebieskie roześmiane oczy.

Śmieje się z naszych tarapatów, pęka ze śmiechu oglądając nasze pokryte grubą warstwą kurzu postacie, błyskając zdrowymi zębami — podaje w wątpliwość: czy aby... jesteśmy białymi ludźmi... przez otwarte okno rzuca w narzeczu murzyńskim jakiś rozkaz, który tłumaczy nam chytrym zmrużeniem oka i krótkim: „piwo", a potem ze szklanką w ręku układa plan działania.

— „D. C." wyjechał, i to wielka dla nas strata, mało bowiem jest ludzi znających dobrze zwyczaje Masai. Tyle lat tu „krąży"! Ale i ja czymś będę mógł wam pomóc. Przecież też niejeden rok tu przesiedziałem. Zamieszkacie naturalnie u mnie. Żonie już wiadomość posłałem i... mam nadzieję, że wanna dla „białych-czarnoskórych" gotowa. Tylko z wodą tu jest bardzo krucho, będzie jej... ilość odwrotnie proporcjonalna do ilości brudu!

Wody rzeczywiście było niewiele. Na nas dwóch wypadło coś niewiele ponad wiadro (trudno! — sucha pora!). Naturalnie kolor tej cieczy był [illegible] ale po umyciu naszych grzesznych ciał — stał się dokładnie czarny. Byliśmy jednak po tej kąpieli — znów do ludzi podobni.

Wieczorem siedzieliśmy w salonie doktorostwa. Dziwna rzecz! jak ci Anglicy, we wszystkich częściach świata, pod każdą szerokością geograficzną, i nawet w najdzikszym pustkowiu, potrafią zorganizować sobie życie, stworzyć swój własny — brytyjski „home"! Gdyby nie białe, tropikalne (ale wieczorowe!) ubranie gospodarzy, nie te siatki przeciwmoskitowe w oknach i nie przejmujący dzwon-śpiew cykad, tych owadów-słowików nocy południowych — mógłbym wyobrazić sobie, że znajduję się gdzieś w salonie gościnnego domu starej Anglii, Szkocji czy też północnej Irlandii. To samo rozkoszne wyciąganie się w starym wygodnym fotelu, takież same stare sztychy na ścianach, na półkach srebrne pucharki i kielichy — pamiątkowe nagrody zdobyte w rozmaitych zawodach sportowych jeszcze z czasów „college'u", to samo whisky złocące się w szklance i ten sam ogień wesoło buszujący w kominku... Z tym ostatnim to jednak, jakby to powiedzieć? — było już trochę przesady. Termometr musiał wskazywać co najmniej 25 stopni, jeżeli i nie więcej, więc... tradycja tradycją, ale... uplasowałem swój fotel najdalej od tego źródła ciepła.

Czarująca pani domu robiła na drutach. Asystentka doktora (nawiasem mówiąc jedyna, poza doktorostwem i „D. C.", biała osoba w okolicy) dzielnie jej sekundowała, córeczka gospodarza po sakramentalnym „good night" — zniknęła w ramionach czarnej piastunki za drzwiami, a my — myśmy pogrążyli się na dobre w opowiadaniach o Masai.

Masai kiedyś musieli być potężnym narodem. Dziś pozostało ich niewielu, jakie pięćdziesiąt tysięcy. I to w Kenyi, i w Tanganyice razem. Kto zresztą potrafi dokładnie zliczyć na tych bezmiarach buszu i stepów?

Fizycznie przedstawiają się wspaniale. Budowy nie ciężkiej ale doskonale proporcjonalnej, wysocy — o długich nogach. Są nadzwyczaj wytrzymali na trudy i... ból.

— Masai są moimi pacjentami w szpitaliku — opowiadał doktór — jakoś już oswoili się z tą instytucją i widać, że cenią ją. Czasami zwracają się do mnie z ranami wprost makabrycznymi. Czy widzieliście kiedy ramię, bok lub udo poszarpane pazurami i kłami leoparda, lwa? Mogę was zapewnić, że to są straszne rany i bardzo bolesne. Otóż w czasie zakładania opatrunków czy też operacyj, na twarzy Masai nie widziałem nigdy najmniejszego skurczu bólu, nie słyszałem najmniejszego westchnienia czy skargi!

— Skoro już mówimy o ranach — ciągnął dalej doktór — to muszą wam opowiedzieć wypadek, jaki miałem tego roku. Opowiadanko to pozwoli wam zapoznać się z „krwiożerczością" Masai, choć... moim zdaniem wskazuje raczej na ich zmysł...



Wojownicy szczepu Masai

praktyczny. Otóż pewnego dnia dostarczono mi pacjenta w stanie okropnym. Nadawał się prędzej do wyniesienia na cmentarz — niż na stół operacyjny. Czaszka była przełamana potężnym uderzeniem maczugi, wyłupany spory kawałek kości. Co było powodem walki — nigdy nie dowiedziałem się, ot, — jakaś sprzeczka, porachunek osobisty, może po prostu „krótka wymiana zdań". Do operacji zabrałem się bez przekonania. Szansa utrzymania przy życiu była więcej niż znikoma. Pracowałem raczej dla treningu jakbym robił sekcję zwłok w prosektorium. Odłamek kości wyjąłem i przechowałem na pamiątkę, bo — stał się cud, Masai wyżył i po paru tygodniach opuścił szpital w zupełnie przyzwoitej kondycji. Zjawił się u mnie jeszcze raz z dziwnym żądaniem zwrócenia mu... części jego ciała, to znaczy — odłamka kości wyjętej z jego czaszki! Przykro mi było rozstać się z pamiątką mego, bądź co bądź wybitnego czynu chirurgicznego, ale żądanie przedstawiono w formie kategorycznej. Zainteresowałem się tylko: co ma zamiar zrobić z tą kostką? Zawiesić w uchu? Nosić jako talizman? Tłumacz biedził się długo i wreszcie, z miną rozjaśnioną, objaśnił mnie: otóż Masai stwierdził, że jeżeli zgłosi się do swego „wroga" z tą kostką, ze swoją częścią ciała, to dostanie od niego... znacznie większe odszkodowanie! Cmokając z zachwytu tłumacz wymienił nawet bajońską liczbę... przypuszczalnie jakie 50 krów!

Na poszukiwanie zamieszkałych koczowisk — „manyatta" wyruszamy w towarzystwie doktora i murzyna tłumacza. Porozumiewanie się z Masai jest dość utrudnione: doktór zadaje pytanie murzynowi (ze szczepu „Kikuyu") — ten tłumaczy na język Masai — i tą samą drogą otrzymujemy odpowiedź, z ust doktora — po angielsku.

Nie jest również łatwą rzeczą odnalezienie w buszu koczowiska, przecież nie prowadzą doń ślady żadnych kół. Masai nie mają i nie uznają żadnych zwierząt pociągowych, a ślad stopy... no to trzeba być już nadzwyczaj wytrawnym „śladotypem", by go zauważyć wśród suchych traw, na spalonej posuchą ziemi.

Spotykaliśmy jednak w buszu włóczących się Masai.

(dalszy ciąg w następnym numerze).

Wiktor Ostrowski.



Tak wyglądają Masai w życiu codziennym

Antoni Trepiński

MAŁO KSIĄŻEK

Wchodzi klient do księgarni, ze szczerą wolą kupienia książki. Czeka go wiadomość, że żądanej książki nie ma.

Padają dalsze pytania, na które trudno dać odpowiedź: — Z czego ludzie się mają uczyć? Dlaczego tak potrzebne wydawnictwo nie ukazuje się w druku? Czemu nie postaracie się o to, czego brak?

— Chodzę od księgarni do księgarni — skarży się jeden z wielu klientów — i po wszystkich antykwarniach. Przekonywam się, że rzeczywiście nigdzie nie ma poszukiwanego dzieła. Jak wytłumaczyć anormalny stan... pominąwszy okoliczności wojenne?

— Niepodobna przejść nad wojną do porządku dziennego w świecie druków! Szkody wojenne w dziedzinie dóbr kulturalnych nie dadzą się objąć, ani powetować. Dotkliwe braki na półkach księgarskich i bibliotecznych złożyć należy bezwarunkowo na karb okupantów. Gdyby nie wojna, najlepsze książki z pewnością łatwo by się znalazły.

— Czy doprawdy przed wojną otrzymywało się przy ladzie księgarskiej każdą poszukiwaną książkę?

— Na ogół tak. Z wyjątkiem wyczerpanych, ale po te chodziło się do antykwarni. Trzeba wziąć pod uwagę, że antykwarnie były o wiele zasobniejsze, niż dzisiaj. Przodujące miejsca w handlu książkami wyczerpanymi zajmowały liczne antykwarnie większych miast polskich.

Stały klient zresztą nie szukał w antykwarniach rzeczy określonych, ale wybierał to i owo spośród dobrych i godnych, Ciekawych obiektów było zawsze więcej, niż pieniędzy. Nie znajdowało się tylko druków nie istniejących w ogóle w piśmiennictwie polskim.

— Otóż to! Jako zawołany zbieracz pamiętam daremne poszukiwania różnych materiałów w bibliografiach polskich. Niejednokrotnie stwierdzało się, że jakaś książka powinna istnieć w literaturze polskiej, tymczasem nie ma. Jednocześnie napotykało się w każdym dziale niewspółmiernie dużo plew w stosunku do ziaren.

— Przyznaję, że prócz ciągłych pytań o podręczniki, których nie ma, mnóstwo innych życzeń klientów w księgarni pozostaje bez załatwienia. Są nierealne. Również przed wojną były po większej części niemożliwe do spełnienia.

Przez pięć lat wojny i półtora roku po wojnie, obsługując publiczność w księgarniach i antykwarniach wielkomiejskich, lubiłem notować charakterystyczne pytania klientów, liczne ich niewykonalne dezyderaty. Jeśli niektóre pytania ponawiano nawet po raz dwunasty lub pięćdziesiąty, niepodobieństwem było zaspokoić powszechne życzenia, jakkolwiek firma dołożyłaby starań w tym kierunku. W częstotliwości pytań występowały przerażające luki w literaturze polskiej, odzwierciadlało się ubóstwo jej w zestawieniu z literaturą obcojęzyczną w rozmaitych dziedzinach; uwidoczniały się dziwne zaniedbania i zarazem ponętne możliwości autorskie i wydawnicze; dokumentowała się smutna prawda, że są rzesze chętnych nabywców, ale nie ma dla nich upragnionych książek.

Pomijam pytania odosobnione. Jednemu z klientów np. chodzi o literaturę regionalną, dotyczącą Radomia (bądź co bądź miasto 100-tysięczne, poważny ośrodek przemysłowy, dodajmy w nawiasach: radomianki słyną z urody). Wygłasza aforyzm: „Przez całe życie interesuje się człowiek miejscowością, w której się urodził". Otóż zdarza się od czasu do czasu w antykwarni obiekt, dotyczący Lublina, Płocka, Kielc, Zamościa, Zakroczymia itd., nieraz jakiś ciekawszy druczek wykonany w Kaliszu, lecz o Radomiu... prócz starej książeczki księdza Gawareckiego nie ma nic.

Ale brak monografii o Radomiu w jakiejkolwiek księgarni polskiej, poza regionem radomskim, nie jest jeszcze kompromitacją. Nie wyobrażamy sobie oczywiście księgarni z prawdziwego zdarzenia w odnośnym mieście bez takiej monografii (powinna być przez nią samą wydana), lecz nie domagajmy się w tym wypadku powszechności zainteresowania. Co innego, gdy będzie chodziło o książeczkę o garbowaniu skór albo o hodowli pieczarek. Garbarze i hodowcy pieczarek rozsypani są po całym kraju, znacznie szerzej niż miłośnicy pamiątek ciasnego regionu.

Inny zgoła zasięg będzie miało zainteresowanie dla Warszawy lub Krakowa. Niemożność dostarczenia klientowi porządnej książki, poświęconej Krakowowi, z widokami zabytków, oblewać musi księgarza rumieńcem wstydu. Wszystko jedno, czy dzieje się to w Białymstoku, Piotrkowie, Przemyślu czy też w samym Krakowie.

Znamienne są słowa cudzoziemca, usłyszane w reprezentacyjnej księgarni krakowskiej.

— Ileż Niemcy wydali monografji albumowych o Krakowie, ze wspaniałymi reprodukcjami, podczas kilku lat okupacji. Wolałbym kupić sobie na pamiątkę z Polski rzecz o architekturze Krakowa w języku polskim, ale wszędzie pokazują mi niestety wydawnictwa niemieckie!

Gdym Szwedowi czy też Szwajcarowi usiłował powiedzieć kilka słów o wojennej tragedii książki polskiej, wskazał leżące na ladzie sklepowej piękne powojenne czeskie wydawnictwa z pysznymi ilustracjami Pragi i powiedział:

— Kraków ocalał szczęśliwie jak i Praga czeska. Pbwie mi pan na to, że macie obecnie coś innego do pokazania, poza cudami Krakowa. Ależ wy i tego nie pokazujecie, co posiadacie obecnie dla oczu całego świata! Przebywałem świeżo w Warszawie. Pełno tam księgarni w śródmieściu. Chciałem kupić jakieś dzieło dokumentalne, traktujące o zburzeniu Warszawy, zawierające 50, 100, 200, 500 — 1000 zdjęć wołających o pomstę do nieba. Czy nie powinna to być jedna z pierwszych książek polskich po wypędzeniu Niemców? I czy nie powinna być tak ułożona, zbiorowym wysiłkiem polskim, by osiągnęła największy nakład na świecie? Urządziliście świetną wystawę „Warszawa oskarża", o której widz prędko zapomniał, ale nie wyzyskujecie wynalazku pewnego Niemca z XV wieku do jak najwymowniejszego oskarżenia Niemców w druku i ilustracji. Mam wrażenie, że prędzej Niemcy ułożą sprytnie kolekcję zdjęć na temat wysiedlania ich z zachodniej części Polski, aniżeli wy się zdobędziecie na racjonalny akt oskarżenia, na którego sporządzenie sposobność może już straciliście.

Grzegorz Timofiejew

DO SYNKA

Kiedy już zaczniesz pisać mój syneczku,
sierocą ręką pierwsze słowa kreśląc —
potoczy się przed tobą barwną steczką
nieznany świat i znęci głębią leśną.
Fijołek będzie o twe oczy pytał,
atramentowy żuk, czy nie upadniesz...
Brnąc niecierpliwie w gąszczu dziwnych liter
będziesz się bał i cieszył, że tak składnie.
Aż gdzieś znienacka słońce cię oświeci
i szczęście się otworzy złotą bramą.
Uśmiech i płacz wybiegną ci naprzeciw,
gdy już napiszesz pierwszy wyraz: mamo!

NOWE KSIĄŻKI

W pięknej szacie graficznej, na bezdrzewnym papierze, z okładką, winietami i inicjałami Tadeusza Gronowskiego ukazał się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego WIATR OD MORZA Żeromskiego. Jest to pierwsze dzieło, jakie wyszło z cyklu 12-tu znakomitych autorów polskich, których utwory — w myśl niedawno ogłoszonej ustawy — znalazły się pod opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki. Dobrze się stało, że „Wiatr od morza" wyszedł w pierwszej grupie projektowanych wydawnictw klasyków naszych. Poza swym nieprzemijającym pięknem, ten utwór bliski jest nam dzisiaj szczególnie dzięki swej wieszczej perspektywie historycznej.

Komentarzem niejako do „Wiatru od morza" jest broszura dra Aleksego Derugi pt. AKTUALNOŚĆ ŻEROMSKIEGO, wydana przez tenże Instytut. Usiłuje ona wydobyć z twórczości Żeromskiego problemy, bardziej aktualne dziś niż kiedykolwiek. Najważniejsze z nich, wedle dra Derugi, są następujące: charakter narodowy Polaków, kierunki polskiej ekspansji narodowej; zagadnienie dostępu do morza: nasz stosunek do Niemców. Polityczno-społeczne tło twórczości Żeromskiego interesuje przede wszystkim autora broszury, którą możnaby określić jako „dyskusyjną".

Nakładem Spółdz. Wyd. „Książka" wyszedł zbiór wierszy Grzegorza Timofiejewa pt. WYSOKI PŁOMIEŃ. Podtytuł głosi, że są to wiersze z konspiracji i z obozu. Konspiracji poświęcona jest część pierwsza zbioru, zawierająca portrety poetyckie współtowarzyszów walki, jak: tajnego drukarza, kurierki, kolportera, bojowca i in. Następna część przenosi nas do obozu koncentracyjnego, ukazuje martyrologię jego więźniów. Książkę zamykają liryki, wyrażające radość wyzwolenia.

Zdumiewająca jest płodność poetycka Jana Brzechwy. Jednym zamachem wydał na świat pięć nowych książek dla dzieci. Są to: AKADEMIA PANA KLEKSA, PALI SIĘ!, PTASIE PLOTKI oraz PRZYGODY PCHŁY SZACHRAJKI. A przecie nie tak dawno wyszły dwie: PAN DROPS I JEGO TRUPA i BAŚŃ O KORSARZU PALEMONIE. Książki Brzechwy są właściwie owocem doskonałej współpracy poety z rysownikami-ilustratorami. Stałym współpracownikiem Brzechwy jest J. M. SZANCER. Tylko „Ptasie plotki" zilustrował ERYK LIPIŃSKI, a „Szachrajkę" CZESŁAW WIELHORSKI. Trudno powiedzieć, który z nich trzech jest najlepszy: wszyscy trzej znakomicie skomponywują ilustracje z tekstem, tak, że każda książka stanowi prześliczną całość poetycko-rysunkową, w której rysunek tłumaczy się za pomocą poezji, poezja zaś nabiera wyrazistości i plastyki dzięki rysunkowi, przy czym artystyczna naiwność rysunku, do jakiej dochodzą tylko prawdziwe talenty, trafia niezawodnie do naiwnej, ciekawskiej umysłowości dziecka.

Niekiedy wesołą, niekiedy smutną a zawsze pouczającą może być lektura książki Stanisława Dzikowskiego pt. NIEMIEC WYSZYDZONY. Jest to wybór najrozmaitszych opowiastek, anegdot i pomysłów polskich o Niemcach od czasów najdawniejszych po okupację. W części historycznej swej książki oparł się autor na olbrzymim dziele niemieckim dra Kurta Lucka pt. „Der Mythos vom Deutschen in der polnischen Volksüberlieferung und Literatur" („Mit o Niemcu w polskiej tradycji ludowej i literaturze"), wydanym w Poznaniu r. 1938. Jest to ten sam Kurt Luck, którego imieniem nazwali Niemcy ulicę Koszykową w Warszawie, a który — pod pozorem pracy naukowej — zebrał istotnie niewiarogodną ilość materiału antyniemieckiego z polskiej twórczości ludowej i literatury. Książka Lucka służyła propagandzie antypolskiej śród Niemców, i stąd autor jej doczekał się takiego „pomnika", jakim było „uwiecznienie" jego nazwiska na murach ulicy warszawskiej.

Władysław Rymkiewicz wydał nakładem „Czytelnika" tom opowiadań pt. RAFAŁ Z LASU. Po „Ludziach bez jutra" jest to już druga książka powojenna tego autora. „Rafał z lasu" — opowieść z czasu okupacji — otrzymała przed niespełna rokiem pierwszą nagrodę na konkursie „Głosu Ludu".

Ze starych fraszek

MIŁO UMRZEĆ ZA OJCZYZNĘ

Mężny, śmiertelną otrzymawszy bliznę,
„Słodko — rzekł — lec za ojczyznę".
Na to mu drugi, co z placu uchodzi:
„Dla ojczyzny żyć jest słodziej".

Ze zbioru Ignacego Legatowicza
(1796—1867)

KRONIKA KULTURALNA

PRZED MIESIĄCEM Akademia Szwedzk przyznała literacką nagrodę Nobla za rok 194 Otrzymał ją Hermann Hesse. Ten siedemdzie sięcioletni pisarz jest autorem kilku powieśc np. „Peter Camenzind", „Unterm Rad", wiel tomów nowelistycznych, spomiędzy któryc wyróżnia się „Diesseits und Jenseits", opis podróży do Indyj pt. „Aus Indien", studió o Dostojewskim — „Blick ins Chaos" i in We wczesnej młodości układał mistrzowsk wiersze nastrojowe, których zbiór wyszedł r. 1902 pt. „Musik des Einsamen". W języku polskim z dzieł jego ukazał się bodaj tylk „Wilk stepowy" (r. 1929) w przekładzie Józefa Wittlina. O Hessem krytyka naogół był tego zdania, że twórczość jego „nietyle wzbogaca naszego ducha, ile włada naszym sercem, głębokością nastrojów i subtelnym ujęciem postaci ludzkich". Ocena, jak widzimy zdawkowa, na jaką zdobyć się może każd Kott. Kto wie — może nawet Hesse, ustawion w rzędzie innych, żyjących dziś wielkich pisarzów, nie zasługuje obiektywnie na to naj wyższe światowe wyróżnienie literackie, ja kim jest nagroda Nobla. Mimo to dostał ją Bo nagroda Nobla ma znaczenie nie tylko lite rackie, ale i polityczne — i humanitarne Jeśli mowa o humanitaryzmie, Hesse godzien jest nagrody, albowiem twórczość jego była zawsze ludzka, szlachetna i pacyfistyczna Możliwe, że ta ostatnia jej właściwość — pa cyfizm — wysunęła Hessego na pierwsze miejsce, przed Michałem Szołochowem, kandy datem Związku Radzieckiego do nagrody. Ni ulega wątpliwości, że arcydzieło Szołocho wa — „Cichy Don" — jest „noblistyczne" czyli może kandydować do nagrody, stanow istotnie — jak je określa krytyka — „wielk fresk socjalny", wszelako akcja jego, tocząca się głównie w epoce wojny domowej la 1917—1918, pełna okropnych walk pomiędzy „czerwonymi" a „białymi", nazbyt jest „wo jenna", co się sprzeciwia zasadom Akademi Szwedzkiej. Hesse natomiast jest piewcą po koju i solidarności ludzkiej. Ponadto jes Niemcem. I tu zapewne kryje się tajemnica przyznania mu nagrody. Niektóre pisma pol skie robią z Hessego Szwajcara. Nie sądzi my, żeby to było sprawiedliwe. „Coelum non animam mutant, qui trans maria currunt" — powiedział wielką prawdę Horacy: niebo nad sobą, ale nie duszę w sobie zmieniają ci, któ rzy przebiegają morza. Z równą swobod możnaby twierdzić, że Einstein, opuściwszy hitlerowskie Niemcy, przestał się czuć Ży dem, a Thomas Mann albo Fr. W. Foerster osiedlając się w USA, stali się Jankesam Takie procesy nie odbywają się na zawołanie zwłaszcza u ludzi, piszących w swoim ojczy stym języku. Nawet zmiana języka, jak Conrada, nie pociąga jeszcze za sobą zmia ny narodowości. I Hermann Hesse napewn nie zerwał związków duchowych ze swoi narodem, acz naturalizował się w niemieckie Szwajcarii .Zasługa jego polega na tym, że odpowiedniej chwili umiał — jak Mann, ja Foerster, jak nieszczęsny Ossietzky — odgro dzić się od hitleryzmu, potępić go i naw ływać świat kulturalny do walki z nim. T zasługę — należy mniemać — wzięła po uwagę Akademia Szwedzka, przyznając mu na grodę. Wierzy pewnie ona, może nawet „con tra spem", że jeśli śród Niemców żyją i two rzą tacy ludzie jak Hesse, Mann albo Foer ster, naród ten nie jest jeszcze dla ludzkoś stracony. Gdyby ktoś chciał na temat Hess go pofilozofować, ciekawy może być dla ni go fakt, że ten starzec-humanista leży szpitalu szwajcarskim, zagrożony utra wzroku. Zwyczajnie — ślepnie. W dzisiejszyc czasach, dla humanitaryzmu może to b symboliczne.

•

TRZYDZIESTU SIEDMIU działaczów i pis rzów katolickich (między innymi: Dobraczy ski, Koźniewski, Kisiel-Kisielewski, Wojcie Natanson, Jerzy Zagórski, Zawieyski, Z krowski) ogłosiło w pismach „oświadczeni w związku z wywiadem, jakiego prezyde KRN Bierut udzielił Ksaweremu Pruszynsk mu. W „oświadczeniu" czytamy: „Pragnien działalnością naszą przyczynić się do zjedn czenia umysłów w Polsce dla (?) odbudo moralnej i gospodarczej Państwa... Właści wykonanie tych zadań i dążeń wymaga z ganizowania przez katolików w Polsce wł nego ośrodka myśli i czynu politycznego, c szącego się zaufaniem hierarchii kościel i poparciem społeczeństwa... Wierzymy, że n bawem nastąpią warunki, w których ośro ten będzie mógł powstać i rozwijać się". należy rozumieć przez słowo „ośrodek"? C ba nie kościół, który powinien być tak ośrodkiem „myśli" katolickiej, bo kościół istnieje. Może to ma być nowa partia, no stronnictwo? Na końcu swego oświadcze pisarze katoliccy wyrażają nadzieję, wzmiankowany „ośrodek" potrafi „zapew pokój ludziom dobrej woli".

St. Łatka.

Ƶącik Filatelistyczny

Seria międzyaliancka dla Niemiec miała, k wiadomo, trzy wydania, z których każde ykonane było w innym państwie (w Stanach ednoczonych, w Anglii i w Niemczech).

Wydania Nowego Jorku i Londynu odróżnić wo dzięki ząbkowaniu, które w pierwszym nosi 11½, a w drugim — 14. Natomiast danie niemieckie posiada ząbkowanie identzne z amerykańskim. Na szczęście nie dno go poznać, gdyż wewnątrz ramki (na sokości litery „P" prawego wyrazu „PFENG") posiada małą plamkę białą, czasem tałtu trójkąta, czasem zredukowaną do eski.



Na powyższym rysunku widzimy w powiękeniu prawy górny róg wydania amerykańiego (rysunek lewy) i niemieckiego (rysuk prawy), na którym strzałka wskazujc ożenie plamki rozpoznawczej.

Reasumując, poszczególne wydania charakyzują się następującymi cechami:

Nowy Jork — ząbkowanie 11½, brak bia- plamki;

Londyn — ząbkowanie 14, brak białej mki;

Niemcy — ząbkowanie 11½, biała plamka lewo od litery „P" prawego wyrazu FENNIG".

Wartości 8 f, 80 f i 1 mk wydania niemiecgo są jakoby bardzo rzadkie.



Czechosłowacja — Ukazała się nowa seria aty z wizerunkiem prezydenta dra Edwar- Benesza. Rysunek wykonał prof. dr. Svaısky, rył Jindora Schmidt. W obiegu chwivo znajdują się następujące wartości: 0,60 k, 0 k i 8 k. Powyżej reprodukujemy zatwierony rysunek.

Jugosławia — Setna rocznica urodzin dziaza socjalistycznego Sverozara Markovica amiętniona została dwoma znaczkami i jego lobizną: 1.50 d (zielony) i 2.50 d (lilaınatny).

ZSRR — W ramach propagandy turystyki azała się seria z widokami Kaukazu o napujących wartościach: 15 k (brunatny), k (ciemno-zielony) i 45 k (brunatno-czerny).

Austria — Nie są znów tak odległe te cza- gdy Niemcy wydawali znaczki z okazji rby w Wiedniu. Czasy się zmieniły, ale azja do wydania znaczków — nie. Wydana atnio z tej właśnie okazji seria jest jednak acznie piękniejsza i efektowniejsza od hitowskich. Na znaczku 16 + 16 widzimy rają kobyłę, pasącą się ze źrebakiem, na + 24 gr—dwa łby końskie, na 60 + 60 gr—wetkę dżokeja na kłusującym koniu, na 1 sz — grupę trzech koni na finiszu i na czku wartości 2 + 2 sz widzimy trzy łby ńskie.

(wo).

Reprodukowanych znaczków użyczyło nam ro Filatelistyczne T. Gryżewski (Łódź, trkowska 47).

gadnienia życia współczesnego
ołeczne
spodarcze
ilityczne
uka
eratura
uka
szystko, co Cię interesuje,
zawiera
IEDZA I ŻYCIE
esięcznik popularno-naukowy
doborowi autorzy
ciekawa i obfita treść
liczne ilustracje
od 1926 r. wysuwają
EDZĘ I ŻYCIE na czoło najpoważniejszych periodyków w Polsce
numerata: kwart. zł 75, roczna zł 300
ninistracja: Warszawa, al. Róż 7 - 22
konto PKO nr. I-1490
dajcie zeszytów okazowych!



Anegdoty historyczne

HUMOR UCZONEGO

Robert Koch (1843—1910), światowej sławy lekarz i bakteriolog, był odkrywcą prątka gruźlicy („bacillus Koch") i zarazka cholery ,tzw. przecinkowca czyli „vibrio cholerae". Pewnego razu odwiedził go w jego laboratorium berlińskim znajomy lekarz, i zastał wielkiego uczonego, jak pilnował nad ogniem rondelka, przykrytego pokrywką.

— Niech pan zgadnie, kolego, co tu gotuje — powiedział Koch.

— Paciorkowce? — zapytał z szacunkiem lekarz.

— Nie.

— Prątki gruźlicy? — I lekarz cofnął się o krok.

— O, nie.

— Vibriones cholerae? — I lekarz cofnął się jeszcze dalej.

— Nie zgadnie pan — odrzekł Koch, podnosząc pokrywkę: — Parówki, panie kolego, parówki, którymi zaraz pana poczęstuję.

PREMIE DLA CZYTELNIKÓW

Czytelnicy, którzy zaprenumerują „Tydzień" od 1. I. 1947 r. i wpłacą należność za całoroczną prenumeratę t. j. zł. 480 —

OTRZYMAJĄ BEZPŁATNIE

KOMPLET »TYGODNIA« ZA ROK 1946

Natomiast ci czytelnicy, którzy wpłacą należność za półroczną prenumeratę t. j. zł 240.— otrzymają jako premię

ILUSTROWANY

KALENDARZ SPÓŁDZIELCZY NA ROK 1947

wydany przez Związek Gospodarczy „Społem" i Zw. Rewizyjny Spółdzielni R.P.

DRUGI KONKURS „TYGODNIA"

NA REBUSY I KRZYŻÓWKI



ARYTMOGRAF

(Nadesłał Jerzy Bielenia z Krakowa)

Cyfry naokoło rysunku należy zastąpić literami, z których utworzy się rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy znaczenie wyrazów:

10—11—12—9 = winograd, winorośl;

18—19—20—21—25 = ptak z rodziny bekasów;

5—6—7—3—31—30—23 = dający znak do ruszenia z miejsca przy rozpoczęciu wyścigów;

28—29—15—13—26 = obozowisko pod gołym niebem;

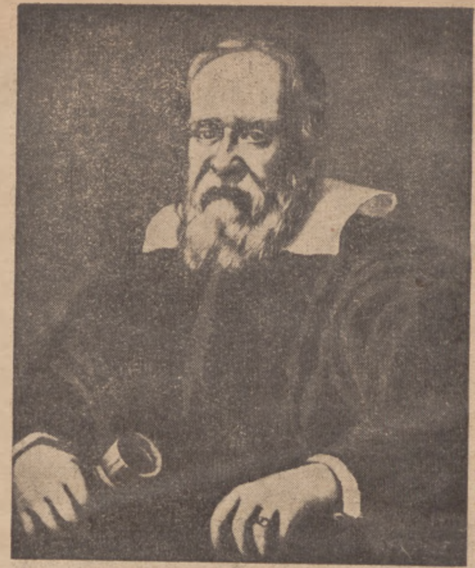
24—1—2—4—8 = wielkie nieprzerwane przestrzenie wód słonych między wielkimi lądami, tworzące morza;

14—17—26—16 = przeciągłe, bolesne westchnienia;

5—22—3—27—15—32 = taki, jakim go wydała natura, nie przetworzony.

REBUS





PORTRETY SŁAWNYCH LUDZI

opracował Bolesław Busiakiewicz

GALILEO GALILEI
18.II.1564 — † 8.I.1642

Wielki ten fizyk, matematyk i astronom w jednej osobie, urodzony w Pizie, był synem kompozytora Vincenzo Galilei. Już od pacholęcych niemal lat wykazywał specjalne zdolności np do budowania bez wzorów najrozmaitszych maszyn. Przeznaczony przez ojca na medyka, całą siłą poświęcił się naukom ścisłym. Dzięki poparciu znakomitego geometry owych czasów Ubaldiego, został powołany w 35-ym r. życia na katedrę matematyki uniwersytetu w Pizie. Wykazując niekłamane zainteresowanie nową teorią Kopernika, naraził się na prześladowanie. Korzysta z tego Rzeczpospolita Wenecka i zaprasza młodego uczonego na katedrę do Padwy. W dalszym ciągu zajmuje się głównie astronomią, dokonując wynalazku teleskopu, Ale w następstwie tych badań i na ich podstawie głoszonych nauk, popada w silny konflikt z Kongregacją św. Inkwizycji w Rzymie. W 1615 r. zostaje wezwany — dzięki intrygom jezuitów — przed oblicze ówczesnego papieża, aby głoszone przez siebie nauki — uznane za heretyckie — uroczyście odwołał. Główną przyczyną była ta okoliczność, że Galilei głosił heliocentryczny system Kopernika. Pragnął utorować tej nowej wiedzy drogę specjalnie napisanym dziełem w postaci naukowych dialogów. Nienawistne intrygi zrobiły swoje i Galilei stanął przed sądem rzymskim. W obliczu kolegium siedmiu kardynałów, klęcząc, musiał się wyrzec nowatorskich rzekomo herezji — albowiem wówczas obowiązywała świat teoria Ptolomeusza o tym, że ziemia jest centrum świata, a słońce kręci się dokoła ziemi... Legenda głosi, jakoby wstając z klęczek zgnębiony przymusem duchownych sędziów miał szeptem powiedzieć sam do siebie („e pur si muove") — „... a jednak się porusza" myśląc oczywiście o planecie Ziemi. Fakt ten historycznego potwierdzenia jednak nie posiada. Galilei udał się na wygnanie do Sieny, gdzie nadal pracował naukowo, pisząc teraz głównie traktaty z dziedziny fizyki i mechaniki. Dzieł swych jednak już w ojczyźnie nie wydawał, — przesyłając je przez posła francuskiego do drukarni wydawniczych w Holandii. W ostatnich latach życia oślepł i pomagał mu w pracach jego uczeń, również sławny fizyk, Toricelli.

Zdobyczami Galileo Galilei są m. in. waga hydrauliczna, cyrkiel proporcjonalny, luneta - teleskop; odkrył kolejno: prawa wahadła i spadku (t.zw. izochronizm), góry na księżycu, obrączkę planety Saturna, plamy słoneczne itd. Dzieła jego obejmują 16 tomów in folio.

Zamieszczona przy niniejszym podobizna Galileo Galilei jest kopią portretu Sustermausa.

WARUNKI KONKURSU

W numerze 17 ogłosiliśmy II Konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. W następnym numerze zakończymy nasz konkurs. Na prośbę czytelników powiększamy dział rozrywek umysłowych, poczynając od dzisiejszego numeru.

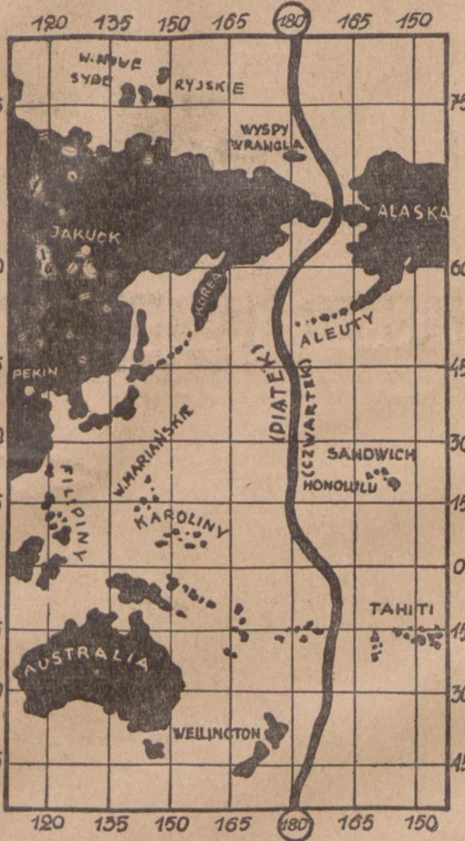
Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł
2 nagrody po 1000 zł
4 nagrody po 500 zł
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu Konkursu do dnia 20 stycznia b.r. do Redakcji „Tygodnia" — Łódź, ul. Pomorska 37/1.

Gdzie się zaczął *Nowy Rok?*

Pytanie wydaje się dziwne. Jakto gdzie? Wszedzie, na całej kuli ziemskiej, z wtorku na środę, gdy skończył się 31 grudnia 1946 roku i wybiła godzina dwunasta północy, zaczął się nowy rok.



Racja. Tylko z tą godziną dwunastą dzieją się ciekawe rzeczy. Wiemy przecie, że gdy u nas w Polsce jest południe, na przeciwnej stronie kuli ziemskiej, choćby w niektórych punktach Ameryki, jest północ. Tak samo jest z godziną dwunastą północy czyli z początkiem nowego roku. Gdy w Warszawie bije północ, w Londynie np., który leży **na zachód** od Warszawy, jeszcze nie wybiła jedenasta wieczór. Natomiast w Moskwie, położonej **na wschód** od Warszawy, już jest po pierwszej w nocy. Czyli, w Londynie i dalej na zachód panuje jeszcze stary rok 1946 w momencie gdy u nas rozpoczęto rok nowy. W Moskwie zaś i dalej na wschód włada już rok nowy 1947 od wielu godzin. W Jakucku ma już on 7 godzin wieku,a dalej jeszcze na wschód np. w Wellingtonie, stołecznym mieście Nowej Zelandii, rok nowy zaczął się już prawie 11 godzin temu.

Natomiast na zachodzie mamy wciąż jeszcze rok stary. W Londynie jak powiedzieliśmy, jest godzina 11 wieczór roku 1946; w Madrycie — jeszcze wcześniejsza, bo około 10-ej wieczorem. Dalej na zachód! W Nowym Yorku mamy jeszcze wtorek 31 grudnia 1946 godzinę szóstą wieczorem. A w Honolulu, stolicy Sandwich, leżącej prawie pod 158 stopniem długości zachodniej, jest dopiero godzina pierwsza po południu (trzynasta) 31 grudnia 1946.

Z tego wszystkiego jasno widać, że musi być gdzieś na kuli ziemskiej graniczna linia dat, gdzie po jednej stronie istnieje stale data i dzień wcześniejszy, po drugiej zaś data i dzień późniejszy. Tak jest w rzeczywistości. Umówiono się już kilkadziesiąt lat temu, że „linią zmiany dat" będzie południk 180-ty, który jest przedłużeniem południka zerowego, przechodzącego przez Greenwich (Grynicz). Jednakże, ze względów praktycznych, żeby wysp i wysepek, rozsianych po Pacyfiku a związanych ekonomicznie i gospodarczo czy to z lądem Azji, czy też Ameryki lub Australii, nie odcinać od dat tych lądów — „linia zmiany dat" nie wszędzie się zgadza z linią południka 180-tego, i przebiega tak, jak wskazuje załączona mapka.

Jest ona wskazówką dla statków, przepływających w poprzek Ocean Spokojny. Co czynią one, przecinając 180-ty południk, żeby uniknąć błędów dat i dni w swoim dzienniku okrętowym i dostosować się do daty i dnia, panujących w danej miejscowości? Gdy statek przecina 180-ty południk, płynąc **z zachodu na wschód**, zapisuje się w dzienniku okrętowym **ten sam dzień i datę dwa razy**. Gdy przecina południk **ze wschodu na zachód**, opuszcza się w dzienniku okrętowym jeden dzień i jedną datę, zapisując np. po wtorku nie środę lecz odrazu czwartek. Na niezmierzonych przestworach wodnych Pacyfiku rodzą się dnie i lata nowe... Stąd, z gwałtowną szybkością piętnastu stopni na godzinę, biegł nowy rok 1947 ze wschodu na zachód. Po jedenastu prawie godzinach dobiegł do Polski i do Warszawy. Dobrze, że „linia zmiany dat" biegnie przez niezmierzoną pustkę oceanu. Co by to było, gdyby przebiegła np. przez południk warszawski? W Warszawie byłby jeszcze wtorek, rok stary, a na Pradze, która leży na wschód od Wisły, byłby już rok nowy. Na Pradze święto, w Warszawie dzień powszedni. Jak tu witać Sylwestra, jak składać wizyty świąteczne?

Kto się uważnie zastanowi nad tajemnicą południka 180-go, może odpowiedzieć na następujące pytanie:

1. Czy mogą się zdarzyć w jednym tygodniu dwie niedziele?

2. Jak się to mogło zdarzyć, że z dwóch ludzi, zrodzonych o jednej i tej samej godzinie, w jednym i tym samym dniu i roku, jeden jest starszy od drugiego np. o 3 dni?

(według Wacława Szczęsnego).

Opłatek pracowników „Społem"

Rada zakładowa pracowników Związku Gospodarczego „Społem" Okręgu Łódzkiego zorganizowała opłatek, w którym wzięli udział prezes Zarządu Głównego „Społem" Jan Żerkowski, dyr. Marszałek, dyr. Lenk, dyr. Rapalski, dyr. Stawiarski, dyr. Śliwiński oraz liczni delegaci poszczególnych działów pracy w pięknie udekorowanej sali Związku Pracowników Spółdzielczych. W imieniu Rady Zakładowej przemówił ob. Sorzewski, który w imieniu pracowników złożył życzenia dla instytucji na ręce prezesa Żerkowskiego i zapewnił, że wysiłkom Zarządu „Społem" towarzyszyć będzie jaknajwiększy wysiłek pracowników. Z kolei prezes Żerkowski podzielił się swemi uwagami na temat roz woju „Społem" w latach 1945 i 1946, podkreślając, że Związek Gospodarczy „Społem" zawdzięcza swój rozwój w dużej mierze temu, ze Łódź była siedzibą centrali „Społem" do połowy 1946 r., W ciągu tego czasu zorganizowano dział młynarski, w którym pracuje już około 6000 osób oraz działy: włókienniczy, materiałów piśmiennych, papierniczy, księgarski i wydział zbożowy; przy czym zaznaczył, że Zarząd „Społem" dąży do tego, aby w najbliższym już czasie powstał w każdym okręgu oddział włókienniczy, co pozwoli na racjonalne rozprowadzenie materiałów pomiędzy ludność miejską i wiejską.

Miarą rozwoju „Społem" może być to, że podczas gdy w r. 1945 obrót wyniósł 6 miliardów złotych, to w roku 1946 — 60 miliardów złotych, a licząc wg. cen przedwojennych, to rok 1945 przyniósł 800 milionów złotych, a 1946 — 1700 milionów złotych.

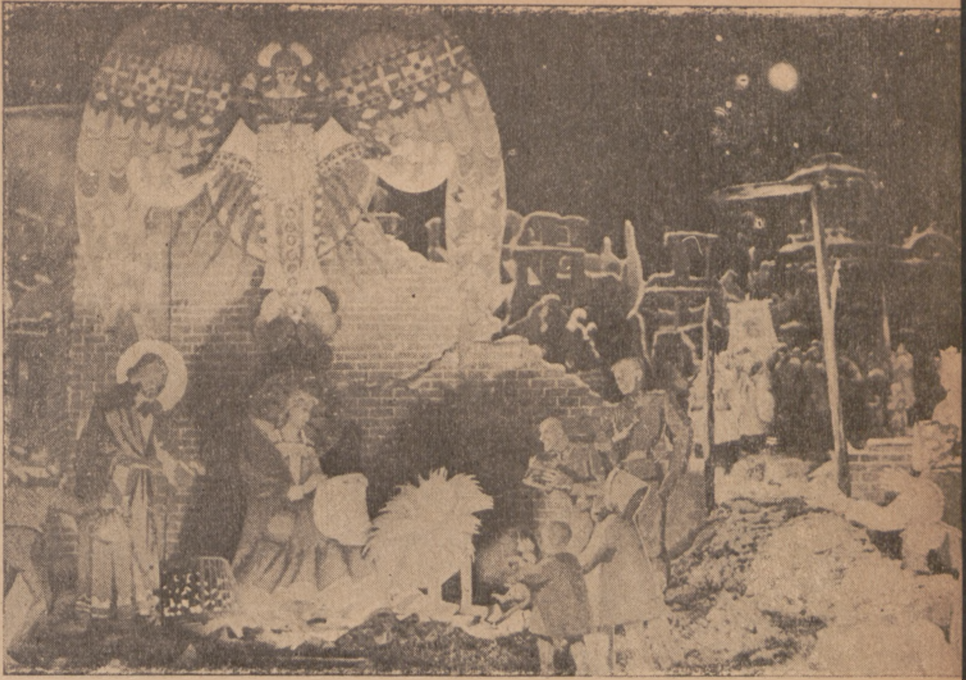
W 1946 r. „Społem" zorganizowało około 600 nowych placówek i zatrudnia dziś ponad 30.000 pracowników. Spółdzielczość polska zajmuje obecnie w świecie trzecie miejsce po ZSRR. i Wielkiej Brytanii, gdy przed wojną zajmowała 8—9 miejsce.

W r. 1938/39 na spółdzielczość przypadało przeciętnie 2% dochodu społecznego, obecnie 20%. W trzyletnim planie gospodarczym spółdzielczość ma do spełnienia bardzo wielką rolę, gdyż ruch spółdzielczy jest najbardziej związany z masami i może państwu dużo pomóc w realizacji tego planu i napewno pomoże.

Na zakończenie swego przemówienia prezes Żerkowski podkreślił, że troską Zarządu „Społem", jest, aby zespół pracowników był dobrze dobrany, żeby wszyscy stali się spółdzielcami, bo postępy gospodarcze nie będą mogły być wielkie o ile nie znajdą poparcia ze strony pracowników. Zarząd „Społem" przywiązuje wielką wagę do podciągnięcia pracowników na wyższy poziom świadomości spółdzielczej w myśl hasła: „Nowy człowiek spółdzielca w Nowej Polsce".

W części koncertowej wzięła udział orkiestra Związku Pracowników Spółdzielczych oraz utalentowana śpiewaczka p. Jankowska, która odśpiewała szereg kolęd.

Uroczystość zakończyło chóralne odśpiewanie przez zebranych kilku kolęd oraz hymnu spółdzielczego.



W kościele św. Krzyża w Warszawie umieszczona jest symboliczna szopka, które dekoracje przedstawiają żłobek betlejemski na tle ruin Warszawy, do którego podąża procesja ze Starego Miasta.



W spółdzielni Warszawa — Śródmieście odbyła się choinka dla dzieci członków. 400 dzieci zostało obdarzonych upominkami. (Fot. E. Brzozowski)



Jasełka odegrana dla najbiedniejszych dzieci Warszawy. (Film Polsk

WIADOMOSCI SPORTOWE

ROZPOCZĄŁ SIĘ SEZON HOKEJOWY. — Poszczególne drużyny w obawie, że jednak może nastąpić pogorszenie warunków atmosferycznych starają się grać nie tylko w niedzielę i święta, ale i w dni powszednie. W poszczególnych miastach wyłonieni już zostali mistrzowie. W Warszawie mistrzem została Legia, w barwach której gra przedwojenny zawodnik Przeździecki. Poznań reprezentowany będzie przez Lechię, Toruń przez Pomorzanina, a ŁKS bronić będzie w mistrzostwach Polski, barw Łodzi. Zanim jednak nastąpią finałowe rozgrywki o mistrzostwo Polski, to tymczasem odbędzie się turniej w Krynicy z udziałem szeregu czołowych drużyn krajowych i ewentualnie jednej z drużyn zagranicznych. Turniej w Krynicy będzie pierwszą poważną imprezą hokejową w Polsce w tym sezonie. Natomiast pierwsze mecze o mistrzostwo Polski rozp ną się już 8 stycznia. ŁKS spotka się z Le a spotkanie rewanżowe rozegrane zostan stycznia. Finały odbędą się w Łodzi do pod koniec stycznia.

W PRZEDEDNIU ROZPOCZĘCIA WIEL BATALII W BOKSIE. Mamy już co prawd sobą kilka spotkań z cyklu rozgrywek o żynowe mistrzostwo Polski, ale właściwy zon" rozpocznie się dopiero 5 stycznia z u łem wszystkch 12 wyłonionych mistrzów o gowych. W mistrzostwach Polski udział następujące kluby: Warta (Poznań), Zje czone (Bydgoszcz), Milicyjny KS (Gda Grochów (Warszawa), IKP (Wrocław), (Rzeszów), CKS (Częstochowa), ŁKS (Ł Lublinianka (Lublin), HCP (Poznań), Ba (Chorzów). Pierwsze sześć klubów stan pierwszą grupę, a pozostałe drugą. Rozgr w grupach tych zakończone zostaną do 30 marca, a finał odbędzie się w drugiej wie kwietnia po mistrzostwach indywid nych Polski.

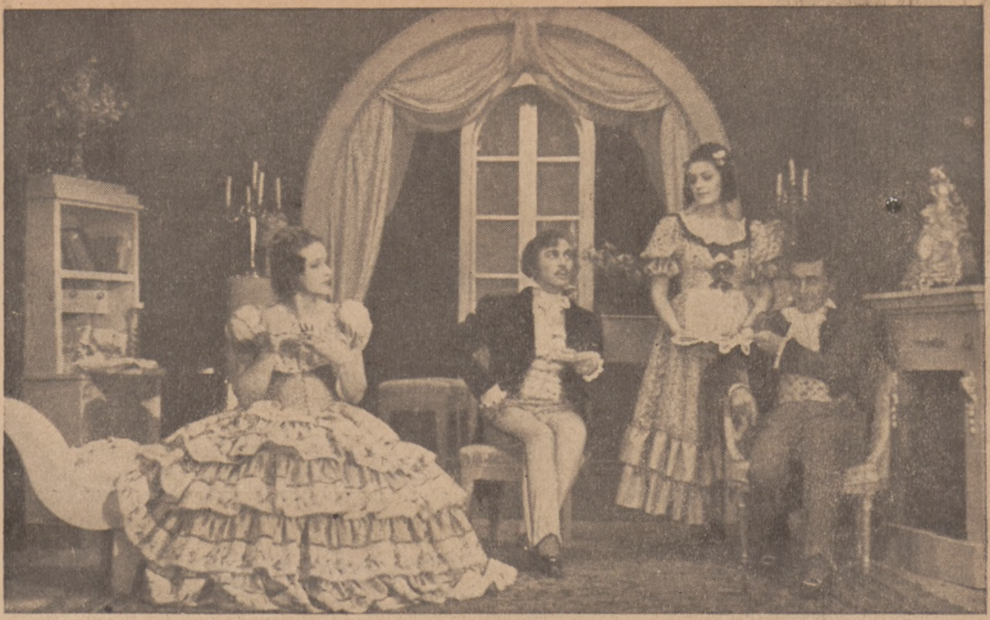
W TEATRACH POLSKICH



atr „Syrena" w Łodzi wystawia komedię „Moja żona Penelopa", graną z wielkim wodzeniem, przyczem na specjalne wyróżnienie zasługują: Stefcia Górska, Stefa- Grodzieńska, Irena Malkiewicz, Janwski oraz widoczni na zdjęciu: Kazimierz Pawłowski (w roli Hermesa) i Zygmunt Chmielewski (w roli Zeusa).



Teatr Kameralny w Łodzi wystawił komedię współczesną J. Anouilh'a pt. „Spotkanie". Na zdjęciu: Danuta Szaflarska i Stanisław Jaśkiewicz.



Premierą Shaw'a „Candida" uruchomił dyr. Al. Rodziewicz drugą scenę dramatyczną w Bydgoszczy w lokalu TUR-u. Premiera spotkała się z wielkim uznaniem prasy i społeczeństwa. W roli tytułowej wystąpiła Janina Niczewska, a w roli pastora St. Dębicz odnosząc duży sukces artystyczny. Na zdjęciu scena zbiorowa z II aktu „Candidy"



W teatrze miejskim w Bydgoszczy wyjątkowy sukces odniosła komedia W. Sardou „Madame Sans-Gêne" w inscenizacji i reżyserii dyr. A. Rodziewicza z J. Niczewską i M. Wieliczem w rolach głównych. Scena z I aktu.

Obmowa „Szkoły Obmowy"

'eatr Polski w Warszawie wystawił kodię Wojciecha Bogusławskiego wg. Sheana pt. „Szkoła Obmowy".

Volno w sztuce jej bohaterom obgadyć się nawzajem — wolno autorowi a raj autorom, bo dwóch ich było — Ang- i Polak — obgadywać w szpetny spo- całe grono swych tworów, przeniesioh z życia na scenę — niech i nam wol- będzie trochę na nich wszystkich ra- poplotkować. I na postacie i na ich prców — i oczywiście na odtwórców rówż.

 więc — autorzy. Sztuka Sheridana vstała w okresie niezwykłej popularci komedii obyczajowej, satyry na zkie złości, przywary i charakterki. sięgnęła ona jednak tego szczytu likliwości, finezji i śmiałości, z jaką rował swe ofiary Molier. Niektóre monty sztuk Sheridana są mało zwarte, tki i intrygi lekko zarysowane, lecz nie ć wyraźnie rozwinięte — są wadą, któ- nie uzupełnił Bogusławski w swojej konałej skądinąd przeróbce. Doskona- niezwykle plastycznie bowiem malu- ej sobowtórów plotkarzy londyńskich stołecznym bruku osiemnastowiecznej rszawy.

'óż powiemy o tych typach, które żyją ysze i wszędzie? Starzejący się Gdyral- mąż młodej żony Dorymeny, lubią- stroje i wesołe towarzystwo... też nie (ny jest od zarazy plotkarstwa: to prze- on opowiada na ucho szalaputowi leremu o romansie „cnotliwego" braciszka Karola z francuską modniarką, rzekomo ukrytą za parawanem. Pada ofiarą swego wścibstwa — za parawanem odkrywa bowiem własną żonę, zresztą uzdrowioną już z choroby plotkarstwa i plochych upodobań.

Wszechpotężna plotka zostaje wygnana z domu Gdyralskich. Na możliwość całkowitego zgnębienia tej nieśmiertelnej przywary autor zapatruje się jednak pesymistycznie — opuszczając salon Dorymeny, dotychczas będący istną „Szkołą Obmowy", jak go nazwał starosta Gdyralski — zacne towarzystwo obiecuje niegościnnym gospodarzom srogą zemstę: rozgadanie po mieście całej awantury.

Plotka — intryga — potwarz — rzecz i nam bliska, dobrze znana, artykuł pierwszej potrzeby i powszechnego użytku, bodaj jedyny tego rodzaju, który nie doczekał się jeszcze ujęcia w ramy ograniczeń konsumpcyjnych. Czy jednak kameralna forma plotki w „Szkole Obmowy", obliczona na użytek rzec by można domowotowarzyski nas bawi, zadawala, zaciekawia, przejmuje? Dziś — w epoce wielkiej Plotki politycznej, obmowy możnych tego świata przez innych możnych i mniej możnych, w atomowej erze intryg i międzynarodowego gadulstwa?

Raczej nie. Jak w wielu innych dziedzinach — wyrośliśmy i tu ponad wiek osiemnasty — udoskonaliliśmy wiele naszych zalet ale i wiele naszych wad.

Cóż dla nas znaczy winko, które konsumować musi butelkami Walery z przyjaciółmi, by osiągnąć zawrót głowy, gdy jego nam współcześni koledzy tak potężnie pociągają znacznie mocniejsze alkohole?

Tamta satyra — na nas już nie działa. Bawi, ale nie przekonywuje. Inscenizatorzy i aktorzy Teatru Polskiego — poplotkujmy i na ich temat — zrobili co mogli. Przyjemne jest opracowanie reżyserskie i artystyczne Karola Frycza, operujące przeciwstawieniami i groteską, humorem i morałem. Doskonałe są stroje i dekoracje, staranna gra aktorów, żywy i potoczysty dialog w scenach zbiorowych.

Z wielkim talentem i poczuciem humoru przetrawiła Nina Andryczówna ewolucję duchową nawróconej Dorymeny. Franciszek Dominiak w roli bogatego wujaszka pełen życia i rozmachu grał świetnie, uosabiając lekkomyślną wiarę w nawrócenie lekkomyślnego bratanka. Czesław Kalinowski z przejęciem prawił morały w roli fałszywego świętoszka, w niektórych chwilami może trochę przesadzając, za co go spotkała słuszna kara w ostatnim akcie, w postaci zawiedzionych nadziei sercowych i kieszonkowych. Janusz Strachocki nudny jako nudny mąż — nie budził zbytniego współczucia. W. Gliński grał Walerego z młodzieńczym wdziękiem i temperamentem. Charakterystyczne postacie plotkarskiego światka barwnie i pomysłowo opracowane przez Bracką, Leszczyńską, Butryma, Małkowską i Nadera. Pozostałe role odtworzyli: I. Stelmach, W. Lasocki, S. Jaszkowski, E. Szupelak-Gliński, A. Bogusińska, M. Chrzanowska, A. Cezarewicz i T. Kostrzewski.

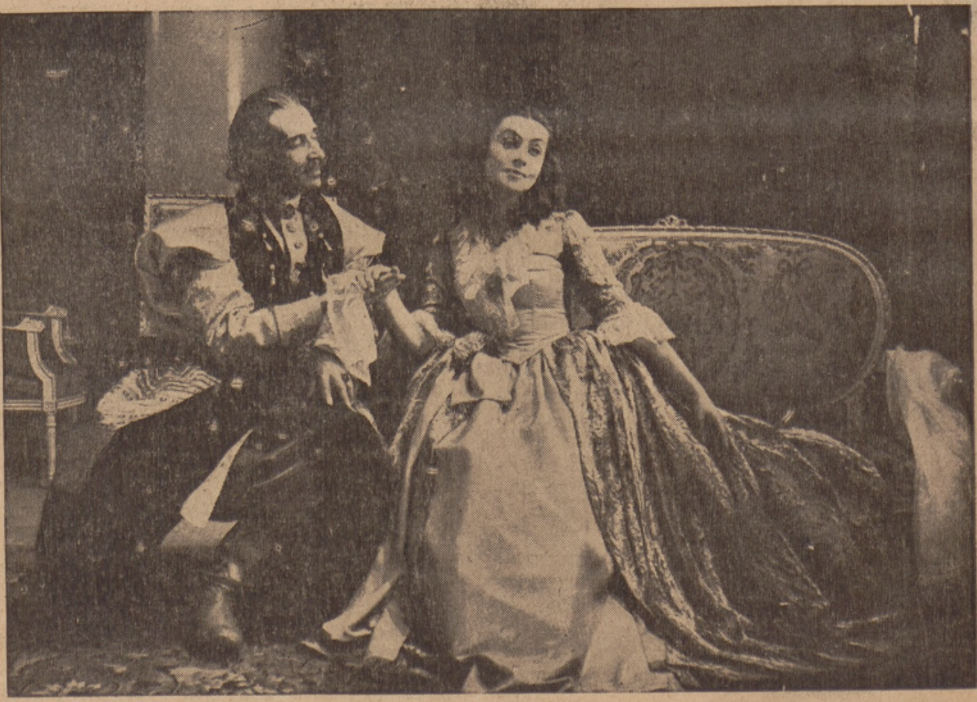
W całości — co do celowości wystawienia sztuki na reprezentacyjnej scenie Teatru Polskiego, możnaby podyskutować z czynnikami decydującymi o repertuarze teatrów warszawskich. Czy nie byłoby lepiej przy znanych trudnościach technicznych i finansowych skoncentrować wysiłki na bardziej interesujących i reprezentacyjnych sztukach? Tego rodzaju drugoplanowe sztuki, słabo działające na publiczność warto raczej przerzucić na mniejsze sceny, np. w celu zapoznawania młodzieży z historią teatru polskiego, w której „Szkoła Obmowy" jest znakomitą pozycją.

Publiczności warszawskiej, dość wybrednej i mającej sporo różnych przeżyć na swym koncie nie nakarmi się landrynką, nawet dobrej marki — prosimy o coś bardziej ostrego w smaku...

Elza.



a Andryczówna w roli płochej starościny.



Duet małżeński — Strachocki i Andryczówna.

Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI



— lepiej się nie pchać na widok.

oja droga!

ałuję, że nie mogłaś do nas przyjeć na święta. Naprawdę było bardzo mi- Wprawdzie święta urządziliśmy skromi- bo nasz przyjaciel Kocio Mentlikowski słusznie nas ostrzegał, że nie wiadomo do czego mogą się dziś przyczepić i że lepiej, się nie pchać na widok, jeśli nawet tak się zdarzyło, że ciężką i niebezpieczną pracą przy wymianie „świnek“ zarobiliśmy parę groszy. Ale towarzystwo było u nas w święta bardzo dobrane i naprawdę przyjemnie się narzekało.

Bardzo również miło było na Sylwestra. Umówiliśmy się w lokalu, w którym jeszcze można za te kilka tysięcy na osobę możliwie zjeść. Wznosiliśmy różne aktualne toasty, a zwłaszcza z wielkim przejęciem piliśmy pod „Daj Boże“ i pod „Nie daj Boże“. Tych toastów nie kończyliśmy na głos, a mianowicie nie wymienialiśmy, co Bóg ma dać, a czego ma nie dawać, bo przecież nigdy nie wiadomo, kto siedzi przy sąsiednim stoliku. Z początku było nudno, bo jedzenie, jak Ci już wspominałam, było dobre, orkiestra przyjemna i nic nie można było zarzucić. Wobec tego odechciało nam się tej całej zabawy i bylibyśmy wcześnie wrócili do domu, ale na szczęście kelner podał Kociowi bladą herbatę i od razu humory nam się poprawiły, bo znów stanęło na naszym, że teraz wszystko jest wszędzie nie do przyjęcia. Po półgodzinnej rozmowie na ten temat, już w najlepszych nastrojach stwierdziliśmy, że gorzej nie może być, niż jest i pozostaje nam tylko czekać na trzecią wojnę albo na wybory. Po wyborach oni przestaną się w ogóle z czymkolwiek liczyć, a my jesteśmy zdania, że im gorzej, tym lepiej. Nie masz pojęcia jak nam działa na nerwy, że oni odbudowują tę Warszawę i że ta Danina, którą rozpisali, ma powodzenie. Jak im się jeszcze uda zaludnić i odbudować Ziemie Odzyskane, to już nas naprawdę do szału doprowadzi. Bo wtedy nawet zagranica gotowa przyznać, że oni tu umieją się rządzić, a to dopiero będzie cios.

Zresztą powiem Ci w sekrecie, że nawet na Londynie trochę się rozczarowałam. Jeśli oni nie reagują na to, że w porządnym lokalu nie umieją obsłużyć takich gości, jak my, to już nie można w stu procentach na nich liczyć. Ale to nic. Czekajmy cierpliwie! Kiedy przyjedzie nareszcie Anders, to napewno z tym zrobi porządek.



Umówiliśmy się w lokalu, w którym jeszcze można za te kilka tysięcy na osobę możliwie zjeść.

Życzę Ci, moja kochana, dobrego roku i żeby się w ciągu tego roku u nas nie zmieniło na lepsze, bo wtedy oni mogliby tryumfować.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Twoja Alicja

półdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA“

Ostatnie wydawnictwa

	zł
Poradnik Rolnika	100
Młynarski Zygmunt — Okruchy dziejów	175
Komarow Włodzimierz — — Linneusz	
Makarenko Antoni — Poemat pedagogiczny 3 tomy . . .	570
Leśmian Bolesław — Wybór poezji	210
Friedman F.-Hołuj T.— Oświęcim	300
Dziecięce i młodzieżowe	
Andersen H. C. — Baśnie . .	120
Krzemieniecka Lucyna—O młynarzu Sylwestrze	150
Lofting Hugh — Przygody dr. Dolittle . .	250
„ — Dr. Dolittle i jego zwierzęta	120
Ransome Arthur — Jaskółczyn	380
Górska Halina — Druga brama	160
Kalendarz uczniowski	150

32)

st do Redakcji

ILK CZY JAGNIĘ

artykule moim o 11 szubienicznikach rymbergi w nr. 14 „Tygodnia“, życzlikorektor poprawił mi wszędzie nazwę ieckiej organizacji podziemnej „Wer-“ na „Wehrwolf“. Tak zresztą stale wają ową organizację polskie gazety. mają racji. Prawidłowa pisownia „Werwolf“.

upierałbym się wcale przy jednej czonej literce, gdyby literka ta nie niała w bardzo perfidny sposób głęsymbolicznego znaczenia nazwy. Bo znaczy „Wehrwolf“? Po prostu — ojony wilk. Nic interesującego. Podgdy „Werwolf“... Ale, aby nie być dzonym o stronniczość, czy nieścisłość, ję głos niemieckiemu leksykonowi.

o w „Der grosse Brockhaus“ (tom XX. 350) czytamy:

Werwolf — człowiek, który czasowo muje na siebie postać wilka; wedpodań ludowych... ma on odgrzebywać , być ustawicznie żądnym krwi i rozywać ludzi i zwierzęta“.

t, te słowa są pełne treści... Kiedy orny hitleryzm począł myśleć o możci zejścia w podziemia, nazwa Wernie została obrana przypadkiem. Jak my, zawiera ona wcale konkretne ole, omal program. Nas, Polaków, ani symbole, ani taki program nie dzi- W skórze człowieka, wilka, czy jag- zawsze Niemiec pozostanie Niem- Ustawicznie żądnym krwi, zwłasz- — polskiej.

J. Pł.



WESOŁY AUGUST ŚPIEWAK ULICY

Któż nie zna najpopularniejszej z wiedeńskich piosenek: „Ach, mój miły Augustyn“? Twórca jej i kompozytor jest pierwszym wiedeńskim piosenkarzem. Śpiewak ulicy: wesoły Augustyn.

W starej kronice jest wzmianka, że przyszedł on na świat jako syn restauratora, w Wiedniu, w 1643 roku. Restauracja przy Himmelpfortgasse, gdzie się urodził, zadecydowała o jego zawodzie.

Maksymilian August żył w wielkiej biedzie. To mu jednak nie przeszkadzało mieć najlepszy pod słońcem humor. Przyzwyczaiwszy się do próżniactwa, wolał obrać zajęcie włóczącego się muzykanta, niż pracą zarabiać na chleb. Z kobzą ,wieczorami, obchodził gospody, gadał dowcipy i śpiewał pieśni, nieraz nie zbyt skromne, mieszczuchom, którzy po małych troskach dnia szukali odpoczynku i zabawy.

August w swoisty sposób sprawował urząd muzykusa. Robił spostrzeżenia, korzystał z własnych przeżyć i układał to w rymy. Gdy żart się znalazł, podłożył jeszcze jakąś popularną melodię: piosenka była gotowa, i wnet cały Wiedeń śpiewał ją. Nieraz śpiewał ją potem przez kilka wieków.

Augustyn popisywał się swemi żartami w gospodach. Pan Konrad Puffen, właściciel jednego z szynieczków, zdołał go u siebie częściej gościć, tak, że dwa razy w tygodniu Augustyn grał i śpiewał u niego. Szczodrość gospodarza miała wpływ na usposobienie Augusta, który potrafił sobie nieraz tak dogodzić że dopiero przy pomocy kolegów docierał do mieszkania. Tak spędzał dzień za dniem.

Zdarzyło się jednak, że wesoły tryb życia wtrącił go w wielkie niebezpieczeństwo. Nadszedł rok 1679 i przyniósł do Wiednia zarazę. Kto mógł, opuszczał miasto. W przeciągu trzech miesięcy padło na dżumę tysiące ludzi. Miasto było podobne do cmentarza. Komu się chciało wtenczas myśleć o rozrywce?

Ci, którzy mieli dawniej ochotę do pijatyk i zabawy, nie znajdowali już przyjemności w piosenkach i żartach Augusta. Jednak Augustyn, mimo ostrych zakazów wszelkiej wesołości, pokryjomu produkował się u Puffena. Ale skutkiem uszczuplonego dochodu był mrukliwy i skwaszony; w końcu wziął rozbrat ze swoim humorem. Z podwójną pasją zapijał się winem i piwkiem. Kredyt miał zapewniony u właściciela gospody „Pod czerwonym daszkiem“, gdyż Puffen okazał się dobrym politykiem: nie zapomniał o dawnych dobrych czasach i użyteczności Augusta, któremu zawdzięczał swój dobrobyt, i który mógł mu jeszcze przy zmianie stosunków przyspożyć dochodów.

Pewnego wieczora August podniósł się od szklanicy i udał się całkiem „zawiany“ do domu. Nie orientował się, którędy idzie, potykał się co krok, zataczał i nucił ulubioną piosenkę:

Ach ,mój miły Augustyn!
Jesteś chwat, pij sto lat!
Ach, mój miły Augustyn!
Jestem ci rad.
Ach mój miły Augustyn!
Los ciężki, trzos pusty,
Ach. mój miły Augustyn!
Już nie ma nic.

Powtarzając zwrotkę swojej piosenki, uczuł nagle, że ziemia mu się usuwa pod nogami.

Spadł gdzieś głęboko, znalazł się na dosyć miękkim posłaniu i uważając, że jest to wygodne, zasnął smacznie, nie troszcząc się już o nic. Kiedy go brzask ranny obudził, poznał. że leży w dole grobowym, jeszcze nie zasypanym, w którym leżało już wielu zmarłych na dżumę. Z całego gardła zaczął wrzeszczeć o pomoc. Dół z zadżumionymi umarlakami był poza murami miasta. Nie prędko zjawili się grabarze, którzy wyciągnęli wesołka z okropnej sypialni.

Możnaby sądzić, że August zaraził się dżumą. Gdzie tam: nie zaszkodziło to nic jego zdrowiu ani silnym nerwom. Opowiadał o swojej przygodzie z roześmianą gębą, a współczucie słuchaczy przynosiło mu znaczne dochody. Przeżył czas dżumy, nie znał miary w piciu, a kiedy zaraza minęła, śpiewał dalej swoje piosenki.

Opracował według starej opowieści wiedeńskiej

Ludwik Świeżawski.

Czy wiecie, że

Donizetti pisał prawie zawsze w podróży, nie zwracając żadnej uwagi na piękno natury.

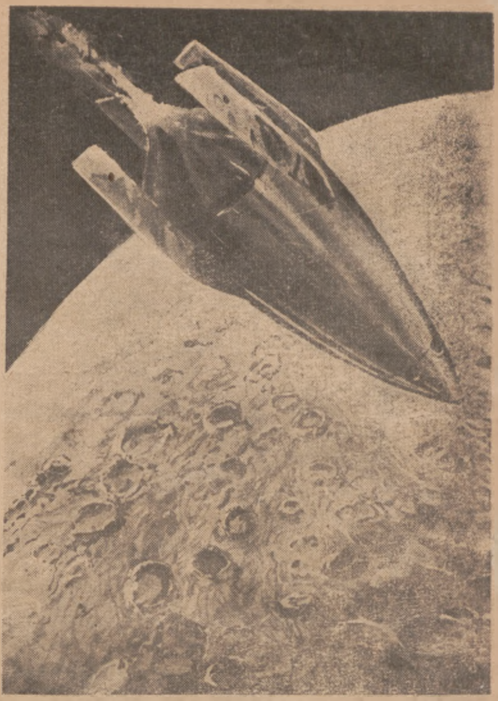
Cimarosa miał zawsze koło siebie kilku lub kilkunastu przyjaciół, którzy prowadzili żywą rozmowę, podczas gdy on pisał.

Sachini tracił zdolność tworzenia skoro tylko ulubiony jego kot uciekał mu ze stołu.

Sarti mógł tylko komponować w ciemnym nieumeblowanym pokoju, znosząc zaledwie słaby blask lampy, ukrytej gdzieś w kącie. To samo przyzwyczajenie miał **Sponti.**

Saleeri współzawodnik Mozarta, rozbudzał swą twórczość przechadzką po mieście, podczas której jadł cukierki.

W 100 godzin ZE STACJI ZIEMIA DO STACJI KSIĘŻYC



Rakieta przestrzenna, dolatująca do księżyca.

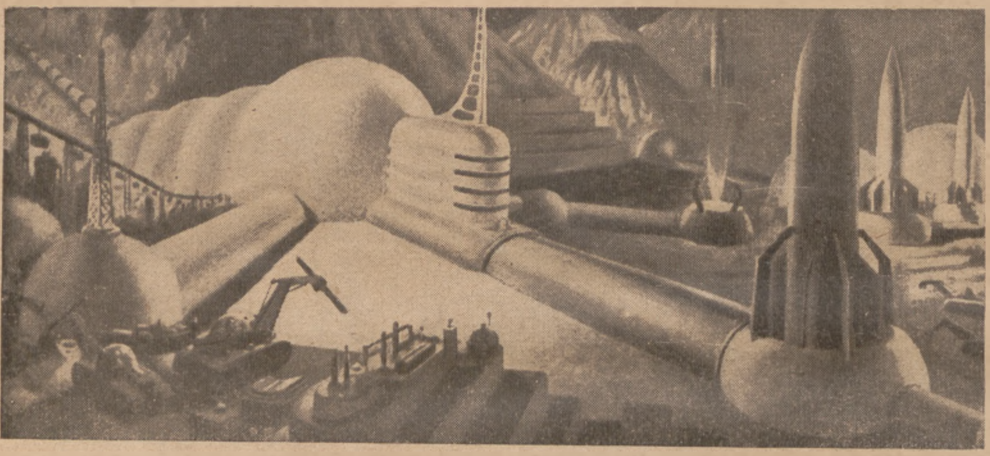
Był czas, kiedy ludzie wątpili, czy samochód będzie w stanie jechać pod górę. W roku 1911 pewien inżynier amerykański wyraził się, że samoloty są „tylko niebezpieczną zabawką". Dzisiaj ludzie powątpiewają o możliwościach rakietowych jako środku komunikacji międzyplanetarnej. W Ameryce istnieje jednak „American Rocket Society", instytucja eksperymentalna, w skład której wchodzi wielu wybitnych inżynierów, oddanych idei komunikacji rakietowej. Sekretarz tej instytucji, a jednocześnie asystent „Westinghouse Electric and Manufacturing Co.", nazwiskiem G. Edward Pendray, autor książki o romantycznym tytule „Men, Mirrors and Stars" („Ludzie Gwiazdy i Lustra") reprezentuje pogląd, że pokonanie przestrzeni jest tylko kwestią czasu. Oczywiście, że pierwsza podróż na księżyc nie będzie podobna do wycieczki week-endowej; o, nie, będzie wymagała najwyższej odwagi fizycznej, a koszt tej ekspedycji będzie tak wielki, że jedynie państwo będzie je mogło sfinansować.

Lecz podróż ta będzie chyba najważniejszą imprezą od czasów istnienia ludzkości. Ludzie wszystkich narodowości będą z zapartym oddechem czekali na wynik tej podróży, gdyż z chwilą pokonania przestrzeni, nasz świat raz na zawsze przestanie być taki, jaki był dotychczas.

Odległość ziemi od księżyca wynosi tyle ile dziesięciokrotny obwód ziemi na równiku. Przy obecnych możliwościach szybkości rakietowej, przestrzeń tę można przebyć w ciągu 100 godzin, tzn. około czterech dni. Dzień księżycowy równa się naszym dwóm tygodniom i w tym czasie powierzchnia księżyca jest wystawiona na bezpośrednie działanie promieni słońca, przez co rozgrzewa się tak bardzo, że w południe można na skałach księżycowych zagotować wodę. Jedynie w miejscach cienistych panuje znośna temperatura. Podczas nocy księżycowej, która również trwa przez dwa tygodnie, temperatura opada poniżej 0°.

Ponieważ księżyc nie jest otoczony warstwą atmosfery, człowiek przeniesiony z ziemi, uległby od razu eksplozji, podobnie jak morska ryba głębinowa, zbyt gwałtownie wydobyta na powierzchnię. Udając się na księżyc, człowiek musiałby być zabezpieczony od upału, od mrozu i od działania promieni ultrafioletowych. Jego ubranie, podobnie jak ubranie nurka wymagałoby specjalnej konstrukcji. Musiałoby regulować temperaturę i stały dopływ tlenu, z zapasów zabranych z ziemi.

Waga takiego ubrania dochodziłaby do 700 funtów, co byłoby nieznośnym ciężarem na ziemi, lecz koniecznym balastem dla utrzymania równowagi na księżycu, gdyż siła przyciągania księżyca wynosi jedną piątą siły przyciągania kuli ziemskiej. Ponadto kostium księżycowy musi być zaopatrzony w radio i aparat radarowy — dla komunikacji z ziemią i musi zawierać pewną ilość żywności, ażeby eksplorator mógł przedsiebrać dalsze wycieczki od swojej bazy rakietowej.



Interesuje wszystkich, jakie bogactwa i niespodzianki kryje księżyc.

Dotychczas siła pocisków rakietowych była niedostateczna do pokonania przestrzeni między ziemią i księżycem. Z chwilą jednak wydobycia energii atomowej, trudności te mogą przestać istnieć. Obecnie amerykańscy inżynierowie wojskowi zaczynają na pół serio rozważać możliwość ekspedycji na księżyc.

Kiedy Krzysztof Kolumb zaproponował Izabelli hiszpańskiej znalezienie nowej drogi do Indii, królowa wiedziała, co może przez to zyskać. Jeżeli dziś jakiś rząd zdecyduje się sfinansować wyprawę na księżyc — niezależnie od odkryć czysto naukowych — będzie również brał w rachubę cele polityczne i gospodarcze. Otóż według Edwarda Pendray'a, opanowanie księżyca daje niesłychane wprost możliwości strategiczne i ekonomiczne. Prawdopodobnie bowiem na księżycu znajdują się olbrzymie złoża uranowe.

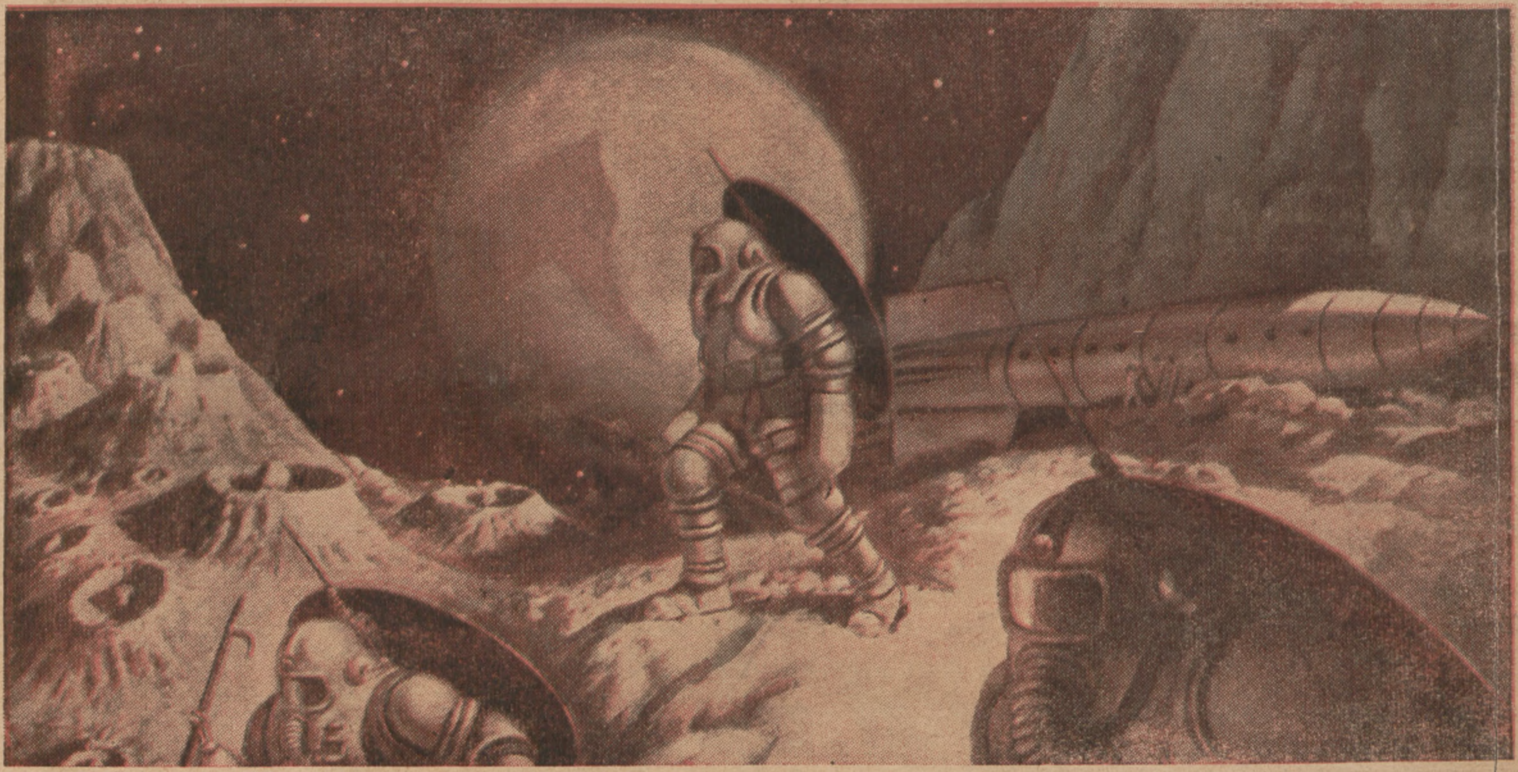
Oprócz aspektu strategicznego, istnieje jeszcze drugi:

Księżyc zajmuje centralną pozycję w komunikacji z Marsem i Wenus, — a według przypuszczeń uczonych — na tych planetach istnieje dla człowieka możliwość życia.

Założenie stałych baz na księżycu byłoby zależne od istnienia pokładów uranu lub innych źródeł energii atomowej. Za pomocą energii atomowej chemicy musieliby również wydobywać tlen, wodór i azot z istniejących na księżycu minerałów dla zaopatrzenia się w wodę i powietrze na miejscu.

Ale gdyby nawet przypuszczenia o złożach uranowych na księżycu się nie ziściły, szansa komunikacji międzyplanetarnej, dla której zdobycie księżyca stanowi pierwszy etap, otwiera przed ludzkością tak wielkie możliwości, że trudno je nawet wyobraźnią ogarnąć.

G. Edward Pendray wierzy, że nadejdzie epoka, która pozwoli człowiekowi poznać cały system słoneczny i zaprowadzić komunikację międzyplanetarną tak, jak istnieje dziś między kontynentami, oddzielonymi przez oceany.



Tak sobie uczeni wyobrażają lądowanie na księżycu.

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

●

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. P. Taran (Puławy, ul. Czartoryskich 17) za poniższy wycinek z artykułu p. Pawła Konrada pt. „O temacie wojennym" („Odrodzenie" Nr. 49):

Popularność Erenburga była niezwykła... W odnalezionym rozkazie dowódcy jednego z radzieckich oddziałów partyzanckich zabrania się partyzantom używania jako zwitków do machorki tych stron gazety, na których wydrukowane są artykuły Erenburga. Czy może być wyższa nagroda dla pisarza tej wojny, niż taki rozkaz?

Dalszy ciąg tej historii, jak się dowiadujemy z miarodajnych źródeł, był następujący. Po pewnym czasie partyzanci, nie mając w czym palić (wszędzie Erenburg i Erenburg), zwrócili się do znakomitego pisarza z prośbą o spowodowanie zmiany rozkazu. Czarująco ironiczny autor „Juljo Jurenito" odpowiedział im: „Rzeczywiście, z tym wazeliniarstwem przesada. Poza tym w lasach trudno o dobór papieru: trzeba brać, co jest pod ręką". Jednakże — jako cywil — nie mam wpływu na niektórych dowódców partyzantów. Ale wysyłam wam, drodzy chłopcy, komplet artykułów niejakiego Pawła Konrada. Używajcie ich do wszystkiego, walczcie dzielnie i śmiejcie się razem ze mną. Wasz stary Ilja".

●

UWAGA... NADCHODZI!

W „Rzeczpospolitej" (Nr. 323) uwagę naszą zwracają dwa kokieteryjne ogłoszenia w ramkach:

FOTO-AKTY
francuskie i inne zakupię każdą ilość. Oferty: „Amator", Marszałkowska 95. „Wolność"

FRANCUSKIE
Magazyny Ilustrowane „Paris", „Beaute", „Sex Appeal" i t.p. Każdą ilość zakupię. Oferty „Amator" Marszałkowska 95. „Wolność".

Myliłby się kto, sądząc, że „Wolność" — to papierosy". „Wolność" — to księgarnia i „Amator" wcale nie jest lubieżnym staruszkiem, który w łóżeczku, do poduszki zwykł się trochę bawić pikanterią. Nie ulega wątpliwości, że powyższe ogłoszenia są zapowiedzią nowego pisma ilustrowanego. Jak wskrzeszona została poczciwa „Mucha", tak zapewne zmartwychwstanie kochany, staroświecki, krakowski „Bocian". Idziemy bowiem z postępem.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje [illegible] ● Redakcja rękopisów nie zwraca
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, al. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-966 ● Prenumerata miesięczna 40.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr [illegible]
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D 011677